Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 9,80 zł w tym 8% VAT • NR 9 (1849) • 27 lutego–5 marca 2026

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

Nie drażnić ludzi z bronią

str. 11

UZBROJONY PO ZĘBY

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl 6e87ff87ec

WOJNA DOMOWA

Trwa wojna o program SAFE. Nadal nikt nie pyta, czy aby na pewno do 200 dużych baniek rocznie na zbrojenia musimy dorzucić drugie tyle z kredytu, za który zapłacimy trzecie tyle odsetek – walka dotyczy jedynie tego, czy bardziej kochamy mamusię Ursulę, czy tatusia Donalda (tego pomarańczowego, nie tego ryżego). Prezydent tokuje podniośle, że „tak, polskiej armii są potrzebne takie duże pieniądze, jakie kryje pożyczka SAFE, wątpliwości budzi jednak efekt suwerennościowy, który jest dla mnie szczególnie ważny jako dla prezydenta Polski". PiS ględzi o niemieckim bucie – który ma się wyrażać w konieczności kupowania niemieckiego sprzętu (co w sumie nie jest złym pomysłem: wystarczy wymienić samochody i AGD) – ale tak naprawdę gówno go to obchodzi do tego stopnia, że zaledwie garść parlamentarzystów dotarła do kancelarii tajnej, żeby przeczytać listę potencjalnych dostawców. Premier podejmuje z opozycją merytoryczną dyskusję nad walorami programu: „Postaram się to wytłumaczyć najprościej, jak potrafię. Patrzcie mi na usta: 20 miliardów tylko dla tej Huty. Stalowa Wola, Podkarpacie, Polska. Dotarło, zakute łby?". Jak dobrze, żeśmy tę komunę obalili i dzięki temu mamy dojrzałych polityków, którzy prowadzą poważne debaty o polskich sprawach, odnosząc się z szacunkiem do wyborców i siebie nawzajem. Było o co walczyć.

À propos walki: mały Władzio, przez niektórych nazywany wicepremierem, strasznie się cieszy, że teraz będzie mógł narozrabiać: „W miniony piątek opuściliśmy skutecznie Konwencję Ottawską. Rozwiązaliśmy gorset, którym byliśmy związani przez lata, po to, żeby ze wszystkich sił odstraszyć potencjalnych adwersarzy". A jak by się nie odstraszyli, to sami będą sobie winni, jak im nasza dumna biało-czerwona mina urwie nogę, rękę albo jaja (ponoć jaja są szczególnie narażone). Polskość min będzie na pewno pocieszająca dla mieszkańców Podlasia, którzy zapętają się na pole minowe w poszukiwaniu jagód i grzybów. To ważne, zważywszy, że zgodnie z raportem „Landmine Monitor 2025", cywile stanowili 90 proc. ofiar min odnotowanych w zeszłym roku, z czego 46 proc. były to dzieci. Czyli koledzy małego Władzia, tylko z mniejszymi żołnierzykami.

Rządowa Agencja Rezerw Strategicznych złożyła do prokuratury zawiadomienie w sprawie pisowskich zakupów węglowych. Po wybuchu wojny w 2022 r., w związku z unijnym embargiem na węgiel rosyjski, rząd – zamiast zwiększyć wydobycie krajowe – za pomocą szemranych prywatnych pośredników importował 750 tys. ton węglowego śmiecia za 1,3 mld zł, z czego zaledwie 300 mln udało się odzyskać. Mocne, czytelne zarzuty; mógłby to być jasny punkt na dość mrocznym firmamencie rozliczeń PiS. Atoli do akcji wkroczył minister Kierwiński, który postanowił podstawić nogę do kucia. Od ministra spraw wewnętrznych dowiedzieliśmy się zatem, że „węgiel kupowany był z krajów ościennych, takich jak Kazachstan, Australia czy Kolumbia", co oznacza, że „mieliśmy do czynienia z programowanym ustawionym wałkiem". Aha, jeszcze, że „zachowania polityków PiS to jest jakiś mentalny masochizm wobec siebie". Teraz czekamy, żeby ktoś z „GW" napisał, że „polszczyzna i zdolność wyrażania myśli" min. Kierwińskiego są „tak złe, niezgrabne, niegramatyczne, chaotyczne", że MSWiA to dla „ludzi takich jak on za wysokie progi". Czy te wymogi obowiązują tylko wobec żony prezydenta?

Zbigniew Ziobro nie odwołał się od decyzji komisji regulaminowej, która udzieliła mu nagany za nieobecność na posiedzeniach sejmu – co oznacza, że prezydium sejmu ma otwartą drogę do obcięcia mu kasy: 90 proc. ryczałtu wynoszącego 13,9 tys. zł brutto i całej diety równej 4,3 tys. Ziobro zapewne uważa, że postąpił godnie i po męsku – ale wyborcy mogą spojrzeć na to także z innej strony. Na przykład: ile ten facet musiał nakraść z tego Funduszu Sprawiedliwości, żeby mu się nie chciało schylać po 14 kafli miesięcznie?

Prezydent Częstochowy Krzysztof Matyjaszczyk został zatrzymany przez CBA w związku z podejrzeniem o przestępstwa korupcyjne. Matyjaszczyk to człowiek Nowej Lewicy, dawniej SLD, pełniący swój urząd od 2010 r. Wieść gminna głosi, że lewica dogadała się z PSL: że w zamian za poparcie ludowców dla ustawy „o statusie osoby najbliższej w związku i umowie o wspólnym pożyciu" taki żałosny wyskrobek związków partnerskich poprze peeselowski postulat zniesienia dwukadencyjności w samorządach. Zważywszy, że prezydent Nawrocki zapewne nie podpisze ani jednego, ani drugiego – cały ten deal jest nieco jałowy, ale przy okazji też śmierdzący. Być może, gdyby prezydent Matyjaszczyk nie siedział na stołku od 15 lat, nie miałby okazji stać się obiektem zainteresowania CBA. PiS oczywiście wprowadziło dwukadencyjność, żeby wysadzić platformerskich prezydentów, albo choć nieco zamieszać w miejskich układach – co nie zmienia faktu, że argumentacja na rzecz tej reformy była słuszna. Lokalni włodarze po dekadach rządzenia rzeczywiście stają się udzielnymi książętami odpowiedzialnymi przed bogiem i historią. Zabetonowanie tych układów nie przynosi korzyści mieszkańcom. Niby dlaczego PSL tak o to walczy?

Z okazji czwartej rocznicy wybuchu wojny rosyjsko-ukraińskiej marszałek Czarzasty udał się do Kijowa, gdzie obiecał Zełenskiemu, że go przyjmie do Unii Europejskiej. Zapewne we własnym imieniu obiecał, bo raczej nie w imieniu wspólnoty europejskiej, która posiada coś, co się nazywa *acquis communautaire*. To wspólny dorobek prawny; dostosowanie się do niego wymaga wdrożenia 80 do 100 tys. stron prawa, a także istnienia administracji zdolnej do stosowania tego prawa. Ukraina na tym odcinku może mieć niejakie kłopoty. Włodzimierz Czarzasty nie zagłębiał się wszakże w szczegóły, toteż mógł wyjść z posiedzenia Wierchowej Rady jak zwykle nadzwyczajnie zadowolony z siebie: „Z tego, co widzę w mediach, zarówno polskich, jak i zagranicznych, zrobiło to wrażenie – nie ze względu na to, jak to było mówione, tylko ze względu na to, co było mówione"… Poza obietnicą wprowadzenia do UE Czarzasty wykazał się heroiczną odwagą retoryczną. „Trzeba naprawdę umieć nazwać zło" – orzekł twardo i dodał, że potępia Putina jako zbrodniarza. No doprawdy jaja ze stali. Nikt inny na całym kolektywnym Zachodzie nie odważyłby się użyć takich słów.

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH



Luty 2014 r.

Świętej Aimée

Minister Sikorski wyleczył nerwowy tik policzka i dzięki temu odegrał doniosłą rolę na Ukrainie. Cóż by to bowiem było, gdyby groził opozycji, że ją wystrzelają, i jednocześnie robił do niej oko.

Świętego Piotra

Pudel Azor OOP uczy się rozpoznawać głos Kaczyńskiego w telewizorze i ma wtedy szczekać do ekranu. Na razie nawet kopniaki nie działają na Azorka. Na widok Macierewicza ma on warczeć, a gdy mówi Tusk, skomleć żałośnie. Wybijanie pudla z apolityczności jest dla niego bardzo bolesne.

Świętej Izabeli

Uwaga pan Dochnal! Dorota Kania, dziennikarka śledząca z „Gazety Polskiej", pilnie potrzebuje 150 000 zł zapomogi na wykonanie wyroku za jej kłamstwo lustracyjne dotyczące prof. Andrzeja Ceynowy, nietrafnie oskarżonego przez tę demaskatorkę o współpracę z SB.

Cd. św. Izabeli

Jak wykryłem, Jarosław Kaczyński ogłosił program kulturalny przyszłego rządu PiS. Jak wykryłem, przepisał go z książki Jörga Baberowskiego „Stalin. Terror absolutny", str. 505. Charakteryzuje on powojenną linię Staliną w kulturze. Jej wykonawcą był Andriej Żdanow. „Od tej chwili obowiązywał prymat narodowy: sztuka i literatura miały w prostych obrazach i dziełach być odbiciem sowieckiej kultury i przepędzić z niej ducha pozbawionego ojczyzny kosmopolityzmu. Z polecenia Stalina funkcjonariusze zajmujący się kulturą podsycali groteskowy kult narodowy, w którym wrogość wobec wszystkiego, co obce, przekraczała wszelkie wyobrażenie. Towarzysząca temu chełpliwość nie była niczym innym jak tylko głęboko zakorzenionym kompleksem niższości".

Świętego Lazara

PiS proponuje ustawę karzącą pięciu latami więzienia za użycie przymiotnika „polski" wobec obozów koncentracyjnych. 23 czerwca odbędzie się I Kongres Dobrego Imienia. Zjadą się z całego świata przeciwnicy przymiotnika „polski", a być może przymiotników w ogóle.

Świętego Modesta

18 lutego. „Gazeta Polska Codziennie" alarmowała: „Od roku 1993 do polskiego sejmu i senatu nie dostał się prawie nikt z potomków dawnych (przedrozbiorowych) elit polskich, a ich liczba jest na podobnym poziomie co w czasach Stalina". Jak się zdaje, PiS-owi brakuje w Polsce dwóch izb: tortur i lordów. W pierwszej zasiadałyby elity PRL, a w drugiej książę Macierewicz, lady Szydło, markiza Pawłowicz czy baronet Girzyński herbu Salceson.

Świętego Romea

Nie komentuję Ukrainy, gdyż wydarzenia biegną szybciej niż dni bloga. Ale wrażenia zostają. Ja i moi doradcy – to znaczy Azor i Daniszewska – z przyjemnością patrzyliśmy, jak Julia Tymoszenko zesrała się na Majdanie. Była histeryczna, fałszywa, anachroniczna w swej sloganowej emocjonalności, judziła do odwetu, stawała samozwańczo na czele Majdanu przeciw przywódcom opozycji i ich dążeniom do porozumienia, biła się w piersi klasy politycznej, zamiast we własne. Lodowate przyjęcie ekspremier przez Majdan dowodzi wielkiego wzrostu rozumu politycznego społeczeństwa od czasów pomarańczowej rewolucji, gdy Tymoszenko ugniatała tłum jak ciasto na pierogi ruskie.

Jej słaba więź z tłumem dodatkowo unicestwiona była przez kogoś, kto przejmował mikrofon, wzywając pomocy dla zasłabłych manifestantów lub rzucającego komendy do ochroniarzy placu. Szukali oni prowokatorów i wyprowadzali ich z tłumu. Ciekawe, czy to były inscenizacje przeciwników Tymoszenko chcących zniszczyć resztki jej magii? Na to wyglądało prowadzenie przez Majdan dwóch wyleniałych, apatycznych chłopaków, którzy mieli niby zagrażać wielotysięcznym tłumom. Dobra robota.

Świętego Nestora

Uzyskanie przez Rosję dominacji nad Ukrainą grozi Polsce nieszczęściem. Dla zapewnienia politycznej stabilności Ukrainy jako satelity Rosji Putin może odciąć od niej i dać nam w prezencie buntowniczy zachód: Lwów, Tarnopol, Iwanofrankiwsk. Rolowanie Polski na wschód oznacza jej gwałtowny upadek. Musimy bronić naszej wschodniej granicy, czyli linii Curzona!

Świętego Romana

Czuję, że nadciąga okres przedwyborczy, bo moje wpływy rosną. Janusz Palikot tak boi się, że go poprę, iż kiedy wygra wybory, to za moje teraz poparcie dla Millera gotów jest oddać mi Orlen albo miedź.

cd. św. Romana

Goście na kolacji: szyjki gęsie po żydowsku z sosem cumberland, pierożki ze szpinakiem lub z krabem z odpowiednimi sosami, móżdżek cielęcy na grzankach, węgorz rano jeszcze żywy w sosie koperkowym z kluseczkami z sera, ciepłe domowe kruche rogaliki z wiśniami i jeszcze czymś. Nazajutrz kolacja bez gości: kaszanka. Na następne kolacje też kaszanka, aż do wyczerpania kaszanki. ❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Donald Trump** wysłał statek szpitalny na Grenlandię. Z następcą doktora Mengele na pokładzie.
- **Papież Leon XIV** przestrzegł kapłanów przed używaniem sztucznej inteligencji w ewangelizacji. Inteligencji Kościół mówi stanowcze „nie"!
- Ruszyły prace nad filmem o **Adamie Małyszu**. A świat czeka na dokument o Fibaku.
- Gazeta.pl informuje, że **Epstein** zaczynał jako nauczyciel matematyki i fizyki. Widać, od zawsze lubił znęcać się nad dziećmi.
- **Większość Polaków** uważa, że polski rząd powinien być bardziej stanowczy wobec USA. Górale powinni nałożyć na Amerykanów cła.
- **Jarosław Kaczyński** zapowiedział kampusy młodzieżowe PiS jako przygotowanie do decydującej bitwy. Obwiązać twarze szmatami, że niby dzieci zęby bolą.

MARTA M.



Rys. TOMASZ WIATER

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Indywidualne znaczy nieindywidualne

Artykuł Red. Borowieckiego („Twoje znaczy nie twoje", „NIE", nr 8/2026 – red.) poruszył we mnie czułą strunę. W podobnej sprawie wielokrotnie zwracałem się do kilku moich parlamentarzystów. Niestety, bez odzewu.

Obecne przepisy nie pozwalają na czasowe wycofanie samochodu z eksploatacji, pozostawiając go, zgodnie za świętym prawem własności, w posiadaniu właściciela. Tak więc od wielu lat, nie użytkując go, muszę opłacać ubezpieczenie samochodu i jego przeglądy techniczne, czekając na możliwość jego pełnej renowacji i przekształcenia w pojazd zabytkowy. Dlaczego? Wygląda na to, że w chwili zakupu auta właściciel de facto traci nad nim swoje władztwo. Na tej zasadzie wnuk musiał zezłomować pięknie utrzymanego Poloneza, którego mu podarowałem: nie stać go było na opłaty do czasu uzyskania statusu zabytku.

Drugim absurdem, który mnie osobiście dotyczy, są zasady przydzielania tzw. tablic indywidualnych. Jak sama nazwa wskazuje, są indywidualne, moje, dodatkowo opłacone i z wybranym tekstem. Niestety, jest to nieprawda! Gdy sprzedam auto, te moje tablice zostaną na samochodzie i przejdą do nowego nabywcy. Czyli nie są moje. Co więcej, jeśli bym zechciał zezłomować auto, tablice przepadną i nie zabiorę ich do nowego auta. Nonsens!

A co ze sprzedażą auta z tablicami o kontrowersyjnej, ale nie wulgarnej treści (nie mój przypadek), np. C1 CIZIA?

Tygodnik coraz lepszy! Ukłony dla całej Redakcji! Trzymamy kciuki za projekt Prof. Senyszyn.

CZYTELNIK

Jaka znów przyszłość?

Słusznie uderza na alarm Idalia Dubicka, wskazując na czysto technokratyczny skład tuskowej Rady Przyszłości. Wpada jednak w zasadzkę wymyślonej przez Pana Premiera nazwy tego gremium. Otóż nie chodzi tu o jakąś serio naszkicowaną „przyszłość", tylko o sensowne i przede wszystkim szybkie zagospodarowanie miliardów, jakie mają napłynąć do Polski z programu SAFE. Reszta jest milczeniem, chyba że sejmowa lewica ocknie się i naciśnie na budowanie osłon socjalnych i na myślenie proekologiczne, które ostatnio zanikło, gdy okazało się, że największe starty w tej dziedzinie przynosi nam... produkcja zbrojeniowa (Pionki etc.).

FILIP RATKOWSKI, KRAKÓW

eprasa.pl 6e87ff87ec



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Dlaczego Korona kradnie ludzi lewicy?

Niechętni kochankowie Brauna

Z głębokim niepokojem czytam teksty o „pokemonach Brauna", pojawiają się tam bowiem nazwiska osób, które nie tylko znam, ale też cenię i lubię. Mój niepokój – śpieszę wyjaśnić – nie wynika z tego, że znam i lubię aktywistów i socjuszy „partii zdrady narodowej" – ale z tego, że ludzie, którzy powinni być na lewicy, trafiają w szpony oszołomskiej prawicy, bo po lewej stronie nie ma dla nich miejsca. Nigdzie: ani u Czarzastego, ani u Zandberga, ani na żadnej z tuzina kanap. To nie tylko bardzo smutne – to także strasznie głupie.

Są w tym wyklętym gronie działacze śp. pamięci Samoobrony – partii ludowego protestu przeciwko kapitalistycznemu wyzyskowi; trudno sobie wyobrazić coś bardziej lewicowego. Są przeciwstawiający się politycznej poprawności uczeni z pezetpeerowskimi korzeniami. Są żołnierze LWP. Są wreszcie osoby będące swoistymi znakami firmowymi Polski Ludowej jak Monika Jaruzelska, a może nawet – jak straszy pisowski tygodnik „Sieci" – Leszek Miller.

Co ich tam zagania?

Onuce

Głównym wyróżnikiem politycznym Grzegorza Brauna i jego Konfederacji Korony Polskiej jest „jawna prorosyjskość". Żyjemy w czasach, gdzie każda postawa nienacechowana żarliwą rusofobią uważana jest za zdradę narodową – ale otwartość Brauna w tym zakresie wyraźnie go wyróżnia.

Jego spojrzenie na Rosję mieści się w tradycyjnej endeckiej wizji podyktowanej myślą Romana Dmowskiego. Idol narodowców jest autorem słynnego zdania o tych, co „bardziej Rosji nienawidzą, niż Polskę kochają" – i był też promotorem zdroworozsądkowego podejścia do potężnego sąsiada, który nie zginie z mapy tylko dlatego, że bardzo byśmy tego chcieli. Ten polityczny realizm jest dziś w Polsce całkowicie niecenzuralny – i tylko polityk taki jak Braun, który nie ma już nic do stracenia na salonach, może sobie pozwolić na głoszenie takich opinii.

Daje mu to swoisty monopol: ludzie, którzy z różnych przyczyn nie uważają Rosji za śmiertelnego wroga, nie znajdują na polskiej scenie politycznej nikogo innego, kto wyrażałby tę ich odrębność. A takich ludzi jest na lewicy niemało.

Przede wszystkim – są NATO-sceptyczni pacyfiści. Ludzie, którzy w Sojuszu Północnoatlantyckim nie widzą szlachetnego aliansu na rzecz pokoju i rozwoju, tylko narzędzie amerykańskiej ekspansji militarnej – i tak też rozumieją zapowiedź rozszerzenia NATO na Ukrainę. Co z kolei skłania ich do dostrzegania tzw. głębokich przyczyn wojny na Ukrainie (termin niecenzuralny, bo używany przez Kreml). Nie oznacza to usprawiedliwienia ani tym bardziej pochwały ataku sprzed czterech lat – ale jakieś jego zrozumienie; uznanie, że nie był „niesprowokowany", Rosja nie ponosi wyłącznej winy za eskalację napięcia, a Ukraina stała się rekwizytem w rozgrywce między mocarstwami. Ta niecenzuralna relatywizacja tępi ostrze rusofobicznej bojowości i skłania do zadawania pytań: czy aby na pewno musimy szykować się na wojnę z Rosją? Czy Rosja naprawdę nam zagraża? Czy monstrualne wydatki na zbrojenia kosztem służby zdrowia, edukacji, nauki – mają sens? To są oczywiście pytania, których Braun nie zadaje – raczej mało w nim pacyfisty – ale czasem wystarczy, że jako jedyna siła polityczna w Polsce kwestionuje dogmat rosyjskiego zagrożenia.

Prawo do Wysockiego

Do tego dochodzi jakiś rodzaj sentymentu do Rosji – rosyjskiej kultury, języka, a także do ludzi – obecny w myśleniu wielu ludzi PRL, którym obecnie zabrania się czytać Bułhakowa i słuchać Wysockiego. To budzi naturalny sprzeciw – podobny do tego, jaki budziła kultura radziecka natrętnie wpychana nam w gardło przed 1989 r. Nawet jeśli za czasów ZSRR polska inteligencja – a nawet elity partyjne – „radzieckich" zbiorowo nie znosiły, przez ostatnie 35 lat równie prymitywnej propagandy, tylko z przeciwnym wektorem, wielu zmieniło punkt widzenia. Zwłaszcza jeśli porównamy jakość rosyjskiej, a także radzieckiej kultury, choćby masowej, z sieczką „made in USA". Koncept sygnalizowania cnoty poprzez zdejmowanie z afisza Czechowa czy Czajkowskiego u wielu osób budzi emocję wręcz przeciwną do zamierzonej.

Do tego – to także warto odnotować, choć pewnie jest jeszcze bardziej niecenzuralne – istnieje grupa ludzi lewicy, których stosunek do ZSRR jest bardziej zniuansowany niż prosta definicja „imperium zła". I nie mówię tu o wielbicielach twardej ręki Józefa Wissarionowicza – choć i tacy się zdarzają – ale o ludziach, którzy dostrzegają przełomową rolę Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej w historii ruchu robotniczego. Oni też chcieliby móc rozmawiać o Rosji w tonie innym niż okrzyki oburzenia – co jakoś tam spycha ich w stronę Brauna. Jest w tym oczywiście sporo paradoksu – stosunek Brauna do ruchu robotniczego i generalnie lewicowych idei jest bodaj bardziej darwinistyczny niż Mentzena – ale czasem emocje triumfują nad analizą. Zwłaszcza emocje zakazane.

Fakt, że swoją „prorosyjskością" Korona jest w stanie uwodzić sporą grupę lewicowców, jest tym bardziej frustrujący, że Braunowi tak naprawdę chodzi o grę na emocjach antyukraińskich. Mam ponure podejrzenie, że wizjonerskie nauki Romana Dmowskiego są przez jego dzisiejszych wyznawców wykorzystywane jako listek figowy przy budowaniu politycznego poparcia na budzeniu demona ksenofobii, schlebianiu antyukraińskim resentymentom.

Na ten resentyment składa się wiele czynników: opisany w psychologii społecznej syndrom „refugee fatigue" czyli zmęczenia, które nieodmiennie dosięga społeczeństwa goszczące dużą liczbę uchodźców; decyzje polityczne, które rodzą w Polakach poczucie niesprawiedliwości – jak długotrwały dostęp nieubezpieczonych Ukraińców do publicznej służby zdrowia; wypowiedzi ukraińskich polityków i dyplomatów słusznie postrzegane jako aroganckie i roszczeniowe w stosunku do Polski; potworne natręctwo proukraińskiej propagandy we wszystkich mediach głównego nurtu. Wymieniać można by jeszcze długo – ale istotne jest to, że większość tych postaw wrogich wobec obecnych w Polsce Ukraińców nie wynika z niczego, co ci Ukraińcy w Polsce robią, toteż trudno oczekiwać od nich jakiejś „poprawy". Dlatego szczucie opinii publicznej na imigrantów z Ukrainy jest paskudne – i fakt, że z braku alternatywy pod skrzydła Brauna trafia sporo lewicowców, budzi mój głęboki smutek.

Ludobójstwo

Druga kwestia, w której Grzegorz Braun przybliża się do lewicy – to ocena izraelskich zbrodni w Strefie Gazy. 29 stycznia Braun został wykluczony z obrad Parlamentu Europejskiego „za zakłócenie minuty ciszy dla ofiar Holocaustu". Zakłócenie polegało na okrzyku „Módlmy się za ofiary żydowskiego ludobójstwa w Gazie".

Abstrahując od wezwania do modlitwy – niestosownego wszędzie poza świątynią, ale już na pewno na forum parlamentarnym – ten głos, przypominający, iż krew palestyńska nie waży mniej niż żydowska, jest bliski lewicowemu sercu. Zwłaszcza iż izraelskie zbrodnie to temat, który także w Polsce politycy i media traktują z najwyższą delikatnością (wyjątkiem jest tu, za co jej chwała, partia Razem). Ludzie lewicy na całym świecie okładani są pałą oskarżeń o antysemityzm, kiedy tylko odważają się protestować przeciwko apartheidowi i ludobójstwu uprawianemu przez prawicowy rząd Izraela.

Ale w przypadku Grzegorza Brauna ta rzekoma troska o Palestyńczyków jest tak naprawdę niczym innym jak przejawem antysemityzmu. W tej sprawie oddaję głos przewodniczącemu Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego Palestyńczyków w Polsce (czyt. obok).

Wyklęci III RP

I wreszcie, po trzecie: Grzegorz Braun i jego środowisko polityczne z sukcesem schyla się po ludzi Polski Ludowej, których niedbale porzucili Czarzasty i jego formacja. Od dawna nic nie wkurwiło mnie tak jak wywodzący się z tzw. lewicy nowo wybrany marszałek sejmu, który na okrzyki „precz z komuną" i zarzut, że szanuje gen. Jaruzelskiego, odpowiedział opowieścią o tym, jak to przyjaźnił się z bardem opozycji Jackiem Kaczmarskim.

Włodzimierz Czarzasty stoi na czele partii, która by nie istniała – a już na pewno nie miała nic do powiedzenia – gdyby nie ludzie Polski Ludowej. To ci dawni towarzysze – lojalni wobec własnych życiorysów i kraju, który był ich ojczyzną – dali formacji, którą w końcu sprywatyzował Czarzasty, dwukrotne zwycięstwo w wyborach prezydenckich i dwukrotne w parlamentarnych. Teraz – z przyczyn biologicznych – jest ich mniej niż ćwierć wieku temu, kiedy tzw. postkomunistyczna lewica ostatni raz wygrała wybory. Ale są. I w czasach, gdy głową państwa jest koleś, który całą swoją karierę zbudował na kłamaniu o Polsce Ludowej, mają szczególne prawo oczekiwać, że formacja, na którą głosowali od 38 lat, stanie po ich stronie. Chociażby w tak symbolicznym wymiarze jak upominanie się o uczciwość historycznej debaty.

Tymczasem ze strony parlamentarnej lewicy – cisza.

Za to endecy regularnie podejmują tę dyskusję. Rok temu byłam w Katowicach na konferencji „Blaski i Cienie Polski Ludowej", zorganizowanej przez Stowarzyszenie Pokolenia i klub bliskiej Braunowi „Myśli Polskiej". Słowo honoru: nie pamiętam w ostatnim ćwierćwieczu tak ciekawej, obiektywnej i wielostronnej dyskusji o PRL.

W grudniu nakładem prawackiego wydawnictwa Capital ukazała się książka zatytułowana cokolwiek prowokacyjnie: „Wyklęci III RP. Milicjanci i Żołnierze Wojska Polskiego polegli w walce z UPA" – którą na swoich socjalach reklamował sam Grzegorz Braun: „Cześć i chwała bohaterom, hańba tym, którzy dla uproszczenia współczesnych, bieżących, aktualnych rachunków politycznych spychają na margines i przekreślają, i redukują do zera wkład chociażby tych żołnierzy i milicjantów, o których dobrą pamięć upomina się dr Krzysztof Żabierek"… W mojej lewackiej bańce na FB nie brakuje żołnierzy i milicjantów z PRL, którzy głośno popierają Brauna i jego towarzyszy. Ludzie, których życiorys i tożsamość są na każdym kroku opluwane przez tzw. wolną Polskę, mają prawo ulec syreniemu śpiewowi środowiska, które – mniej lub bardziej szczerze – okazuje im szacunek.

To przez nas

I coś wam powiem: to jest wszystko wina lewicy.

Winą lewicy jest to, że porzuciła ludzi Polski Ludowej i, że porzuciła wartości pacyfizmu. Że równo maszeruje w szeregu oszalałych militarystów, sławiąc wydatki na zbrojenia, że bije się o palmę pierwszeństwa wśród tych, którzy najgłośniej sygnalizują cnotę rusofobii, że brak jej jaj, żeby po imieniu nazwać ludobójstwo w Gazie – i że wykluczyła ze swoich szeregów wszystkich, którzy mają odwagę podjąć dyskusję na którykolwiek z tych tematów.

Jeśli głosy lewicowych wyborców utorują Braunowi drogę do władzy – to przez nas, Towarzysze.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

Palestyna jako paliwo wyborcze

Apel o spokój, a potem straszenie

Grzegorz Braun próbuje dziś występować w roli jednego z nielicznych polityków w Polsce, którzy „odważnie" mówią o ludobójczej wojnie w Gazie. Ale to tylko poza. Braunowi nie chodzi ani o Palestyńczyków, ani o sprawiedliwość, ani o prawo międzynarodowe. Chodzi o elektorat karmiony strachem, resentymentem i fałszywymi alternatywami. Z jednej strony Braun atakuje Izrael i mówi o zbrodniach w Gazie. Z drugiej – uderza w islam, migrantów i całe społeczności, strasząc „islamistami", „zniknięciem narodu" i cywilizacyjną katastrofą. To nie jest odwaga. To jest cyniczna gra polityczna.

Warto jasno powiedzieć: te słowa nie padły przypadkiem. Grzegorz Braun wygłosił je oficjalnie podczas kongresu Konfederacji Korony Polskiej, który miał być prezentacją jego projektu politycznego. „Nie powinniśmy popadać w żadne niezdrowe emocje" – mówił Braun, po czym niemal natychmiast zbudował narrację opartą na strachu i podziale. Na zakończenie padły słowa:

„Alleluja – i do przodu! Bo jak nie Alleluja, to Allah akbar. Albo zrobimy w Polsce porządek, albo przyjdą islamiści i go zaprowadzą; albo nasz naród zniknie"…

To klasyczna manipulacja retoryczna. Najpierw wezwanie do „rozsądku" i „zdrowych reakcji", a zaraz potem eskalacja lęku, wizja oblężonej twierdzy i dehumanizacja milionów ludzi. Kongres, który miał być debatą programową, stał się trybuną do straszenia społeczeństwa, przeciwstawiania chrześcijaństwa islamowi i budowania fałszywego wyboru: albo nacjonalistyczny „porządek", albo rzekoma islamska zagłada Polski.

Braun instrumentalizuje Palestynę. Cierpienie palestyńskich dzieci, zniszczona Gaza, masowe groby i głód – wszystko to służy mu jako paliwo wyborcze. Atak na Żydów i ostre hasła wobec Izraela nie wynikają z empatii wobec Palestyńczyków, lecz z kalkulacji: antyżydowskie resentymenty dobrze mobilizują część elektoratu.

Jednocześnie ten sam Braun podsyca islamofobię, stawiając znak równości między islamem a zagrożeniem dla Polski. To nie jest obrona Palestyny. To jest polityka nienawiści.

Wsparcie dla Palestyny nie ma nic wspólnego z nienawiścią do Żydów. Trzeba to powiedzieć jasno, bo właśnie to kłamstwo jest najczęściej wykorzystywane do zamykania ust krytykom Izraela. My nie wspieramy Palestyny dlatego, że nie lubimy Żydów. Wspieramy Palestynę, bo sprzeciwiamy się okupacji, apartheidowi, czystkom etnicznym i ludobójstwu. To nie jest konflikt religijny. To nie jest wojna „Żydzi kontra muzułmanie". To jest kolonialna przemoc państwa okupacyjnego wobec narodu palestyńskiego, udokumentowana w raportach ONZ, Amnesty International i Human Rights Watch.

Krytyka Izraela nie jest antysemityzmem. Sprzeciw wobec ludobójczej wojny w Gazie nie jest nienawiścią do Żydów. Żądanie odpowiedzialności karnej nie jest rasizmem.

Antysemityzm to nienawiść do ludzi za to, kim są. My potępiamy zbrodnie, okupację i bezkarność, a nie ludzi.

Nie da się być przeciwko ludobójstwu wybiórczo. Nie da się potępiać zbrodni w Gazie i jednocześnie szczuć na muzułmanów i migrantów. Nie da się mówić o moralności, a jednocześnie straszyć „zniknięciem narodu" i „islamskim porządkiem". To nie jest obrona Polski. To jest zatruwanie debaty publicznej i normalizacja nienawiści. Prawdziwe wsparcie dla Palestyny oznacza: konsekwencję moralną, obronę prawa międzynarodowego, sprzeciw wobec każdej formy rasizmu i dehumanizacji. My stoimy po stronie człowieczeństwa. Po stronie narodu palestyńskiego – nie przeciwko Żydom, lecz przeciwko zbrodniom. I nie pozwolimy, by Palestyna była zakładnikiem cudzej kampanii wyborczej.

OMAR FARIS

Autor jest przewodniczącym Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego Palestyńczyków w Polsce.

eprasa.pl 6e87ff87ec

GADMAN



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Poważny kapelusz Szymona

Polska polityka to nekropolia liderów „trzecich dróg"

Dzieje powieści „Frankenstein, czyli współczesny Prometeusz" angielskiej pisarki Mary Shelley to także historia zniekształcania i spłycania jej wymowy dla maksymalizacji zysków z upowszechniania. Wydana w 1818 r. powieść przede wszystkim stawiała dylemat: czy człowiek, nawet niezwykle zdolny i wykształcony, jak doktor Wiktor Frankenstein, może równać się z Bogiem – stwórcą. Czy może stworzyć byt podobny do jedynie przez bogów tworzonych? Czy może wykraść im moc tworzenia, mitologiczny ogień uszczęśliwiający ród ludzki?

Nowoczesny katolik

Ech, miał on wszystko, o czym polski mężczyzna w średnim wieku marzy. Rozpoznawalność w internecie, w tradycyjnych telewizjach i w realu też. Pozdrawiano go na dworcach, w centrach handlowych, na procesjach. Ma nadal chłopięcą urodę, gadanę, wdzięk. Do tego suwerenność finansową zarobioną gadaną w popularnych „teledurniejach". I jeszcze łatwość pisania książek, co dawało mu intelektualny profil.

W szczycie swych lat tłustych był marszałkiem sejmu. Konstytucyjnie drugą osobą w państwie. Wkrótce po objęciu tej funkcji sejmowe obrady stały się bardziej popularne niż parlamentów brytyjskiego i niemieckiego. Liczba subskrypcji kanału sejmu na YouTubie potroiła się w niespełna dwa tygodnie. Fenomen ten nazwano przez media – w tym „Financial Times" – mianem Sejmflixu. Zyskał wtedy status sejmowego Ronaldo.

Niestety, był też Szymon Hołownia przywódcą partii. Nie zawsze pewnie chciał nim być, ale też musiał. Bo partię zarejestrowano pod nazwą „Polska 2050 Szymona Hołowni". Bo miał wabić swym syrenim głosem, urodą i cnotą niezawodowego polityka rzesze wyborców zniesmaczonych obecnymi aktorami politycznej sceny.

Dlatego pewnie Hołownia został okrzyknięty przez spin doktorów i przychylne media przyszłością polskiej polityki. Liderem nowej generacji. Przeciwieństwem trzymającego władzę starego pokolenia liderów z czasów Okrągłego Stołu.

Wykreowano go na polityka umiaru i zdrowego rozsądku. Polaka-katolika, ale nowoczesnego. Wierzącego, praktykującego, lecz zwolennika przyjaznego rozdziału Kościoła od państwa. Akceptującego rejestrację jednopłciowych związków partnerskich bez nadawania im rangi i praw małżeństw. Przeciwnika uchwał dyskryminujących osoby LGBT. Przeciwnika legalnej aborcji. Patrioty mięsożernego Podlasia, skąd pochodzi, i jawnego wegetarianina.

Prometeusz Ikarem

„Jesteśmy Polską 2050 i chcemy budować swoją własną tożsamość. Chcemy pokazać Polakom, że istnieje alternatywa, inna możliwość niż polaryzacja. Polacy nie są skazani na PiS lub PO" – przekonywał w maju 2025 r. poseł Łukasz Osmalak, członek zarządu i skarbnik Polski 2050. I zarzekał się: „nie jesteśmy magazynem części zamiennych dla Koalicji Obywatelskiej czy dla Rafała Trzaskowskiego. Współtworzymy rządzącą koalicję, współpracujemy w rządzie, bo uważamy, że jest on lepszy niż rząd Prawa i Sprawiedliwości. Może nie jest idealny, widzimy braki, wiele rzeczy mogłoby działać lepiej. Ale nie to nie znaczy, że jesteśmy Platforma bis".

Katastrofa zaczęła się, kiedy marszałek Hołownia, konstytucyjnie druga osoba w państwie, zapragnął być bogiem polskiej polityki. Prezydentem „trzeciej drogi", choć wszyscy rozsądni obserwatorzy polskiej spolaryzowanej sceny politycznej wiedzieli, że taki cud się nie uda. Bo kiedy Polska jest jednomandatowym okręgiem wyborczym, zwłaszcza w drugiej turze wyborczej, miejsca dla „trzeciej drogi" nie ma.

Dodatkowo marszałek Hołownia okazał się też marnym politykiem. Grając jedynie na siebie, zbyt często szachrował i grał podczas kampanii wyborczej przeciwko kandydatowi KO Rafałowi Trzaskowskiemu. Licząc, że urwie mu kilka procent wyborców, co da mu trzeci wynik w wyborach.

Zamiast prometejsko dawać swemu ludowi żar alternatywnej polityki, oślepiony sukcesami jął szybować ku politycznemu niebu. I spadł jak Ikar.

Upadek Hołowni wynikał zapewne z jego charakteru i nabytych kompetencji. W Polsce od politycznego lidera, partyjnego przywódcy oczekuje się też projektowania politycznych wydarzeń. Pisania ról dla ich wykonawców, obsadzania ich najlepszymi z możliwych kandydatami.

W czasie swej poprzedniej medialnej kariery Szymon Hołownia grał zwykle role w napisanych dla niego scenariuszach. Był wykonawcą cudzych pomysłów. Wykonawcą nierzadko twórczym, wzbogacającym przydzielone mu role, ale nie był liderem całego przedsięwzięcia. Niestety, politykiem okazał się marnym. Dał wpuścić się w sekretne polityczne intrygi aranżowane przez profesjonalnych politycznych knujów. Rzecz jasna, intrygi szybko wydawały się i brukały polityczną cnotę cudownego chłopca polskiej polityki. Być może usłyszał też groźby szantażów ze strony knujów i zatęsknił za ciepłą posadą celebryty, najlepiej na emigracji. Podjął impulsywną ucieczkę ze swej złotej klatki, czym skompromitował się raz jeszcze.

Dziś musi tyrać na drugorzędnej posadzie wicemarszałka sejmu, bo tego wymaga koalicyjna umowa. Dalej być formalnie liderem rozpadającej się już partii. Kolejnym uosobieniem biblijnej przepowiedni, że pycha poprzedza zgubę, a wyniosłość ducha – upadek. „Lepiej być pokornym z ubogimi, niż dzielić łupy z pyszałkami" – powiada pismo (cytat za Biblią Warszawską, 1975).

Magazyn części zamiennych

Niepokalany politycznym brudem Szymon i jego Polska 2050 miały być alternatywą dla duopolu KO–PiS. Trzecią, racjonalną, pokojową drogą ku Polsce 2050. Dowodem, że inna polityka jest w Polsce możliwa.

Niestety, znów okazało się, że kolejna „trzecia droga" zaprowadziła jej wyznawców donikąd, Polskę 2050 Szymona Hołowni do organizacyjnego rozpadu, a jej parlamentarzystów do konieczności szukania sobie innych, profesjonalnych już, liderów politycznych.

W III RP regularnie pojawiają się partie i ruchy polityczne występujące pod sztandarami antysystemowości, uprawiania innej polityki, wyboru nowych osobowości politycznych. Takimi były Partia Przyjaciół Piwa, Samoobrona, Ruch Palikota, Kukiz15 i ostatnio Polska 2050 Szymona Hołowni. Każda z tych formacji wprowadzała do sejmu grono parlamentarzystów wybranych dzięki popularności jej lidera i aktywności medialnych patronów. Każda z tych formacji zwykle nie dożywała swej trzeciej sejmowej kadencji. Rozpadały się, zasilając często swymi parlamentarzystami partie duopolu.

Szymon Hołownia i kierujący nim spin doktorzy stworzyli, niczym doktor Frankenstein, nowy byt polityczny, zszywając go z ludzi chętnych i już aktywnych w innych partiach politycznych, samorządach, zawodowych środowiskach. Energią, która ożywiła i napędzała działalność tego Frankensteina polskiej polityki była popularność szołmena Szymona Hołowni. Podobnie jak kiedyś Rewińskiego, Leppera, Palikota, Kukiza.

Niestety, doświadczenia Polski 2050, podobnie jak poprzednich antysystemowych partii „trzeciej drogi", wskazują, że tym Frankensteinom zwykle brakuje kultury organizacyjnej. Stare, okrzepłe partie polityczne potrafią przezwyciężyć kolejne kłótnie i rozłamy w swych szeregach, bo już kiedyś udało im się przeżyć podobne. Kłótnie, rozłamy są dla każdej partii politycznymi szczepionkami. Uodporniają jej członków na kolejne spory. Tworzą kulturę wspólnoty organizacyjnej. Taka kultura łatwiejsza jest do stworzenia, kiedy członkowie partii mają wcześniejszy staż w jej młodzieżówce, lokalnych strukturach. Kiedy słyszeli o poprzednich kryzysach od starszych, którzy pomimo tego pozostali w partyjnych szeregach. Trudniej jest stworzyć taką wśród działaczy, którzy zmieniali partyjne szeregi już w czasie pierwszych partyjnych sporów.

Społeczeństwo polskie nie ma wieloletniego historycznego treningu demokratycznego. W I Rzeczypospolitej mieliśmy demokrację szlachecką, w XVIII w. zdegenerowaną. System demokracji parlamentarno-gabinetowej w II Rzeczypospolitej trwał kilka lat, do zamachu majowego. Polska Ludowa ewoluowała od rządów autorytarnych do wyborów kontraktowych. Nie mamy też silnych tradycji i fundamentów samorządności, samopomocy, lokalnych referendów. Stąd pewnie tak wielka miłość polskich demokratów do silnych, wręcz autorytarnych politycznych przywódców. Wiara, że to oni uczynią demokratyczne cuda.

W efekcie mamy w III RP formalną demokrację parlamentarną i system duopolu politycznego. Plemienną polityczną wojnę polsko-polską. Krytykowaną przez wszystkich, nawet przez liderów duopolu. I polityczny cmentarz liderów „trzeciej drogi", którzy wchodzą na taką wojenną ścieżkę bez poczucia odpowiedzialności za skutki swej działalności. Zwłaszcza za losy ludzi, którzy powierzają im swój los. Efektem kolejnej klęski „trzeciej drogi" będzie kolejne zniechęcenie setek tysięcy wyborców uwiedzionych wcześniej wizją innej polityki. Ich przekonanie, że polityka to „w kryształe pomyje", a Polską rządzą „kurwa i złodziej".

A polskie media poinformowały, że marszałek Szymon Hołownia kończy 50 lat. Z tej okazji kupił sobie prawdziwie męski kapelusz.

PIOTR GADZINOWSKI

PS Warto też przypomnieć, jak kończy się eksperyment doktora Frankensteina. Zamiast ideału powstaje monstrum. Inteligentne, ale niepotrafiące się odnaleźć w rzeczywistości. Z braku wcześniejszego zapoznania się ze światem potwór nie rozumie go i wzbudza tym przerażenie w ludziach. Prześladując w imię zemsty swego twórcę, doprowadza do śmierci Frankensteina i jego najbliższych.

Ulubiona telewizja Trumpa będzie otwierać Polakom oczy

Amerykańska prawicowa stacja telewizyjna Newsmax rozszerza swoją działalność i zamierza stworzyć filie w kilku europejskich państwach, w tym w kraju nad Wisłą. Medium rozpoczęło już proces rekrutacyjny. Właścicielem europejskiego Newsmax Balkans na licencji amerykańskiej jest serbski państwowy koncern Telekom Srbija, kontrolowany w 58,11 proc. przez serbski rząd. Kanał działał wcześniej jako Newsmax Adria. W 2024 r. przeszedł reorganizację i zmianę linii redakcyjnej, zachowując tę samą markę i ideologię co jego amerykańska stacja matka. Slogan stacji *Real news for real people* („Prawdziwe wiadomości dla prawdziwych ludzi") należy czytać jako antymainstream, nacjonalizm i ciepłe uczucia do amerykańskiej prawicy z Trumpem na czele.

Prawy pluralizm

Pod względem hierarchii telewizyjnych kanałów informacyjnych w USA Newsmax pozycjonuje się na czwartym miejscu po wielkiej trójce (Fox News, MSNBC, CNN). Nie jest to co prawda kanał o porównywalnej do gigantów skali widowni dziennej czy tygodniowej, ale kwartalnie gromadzi ponad 28 mln widzów i ciągle mu rośnie. Skąd ten sukces?

Założycielem i dyrektorem istniejącej od 1998 r. Newsmax Media Inc. jest Chris Ruddy, jeden z najbogatszych ludzi w USA. Indeks Bloomberg Billionaires wskazywał w ubiegłym roku, że jego majątek netto przekracza 9 mld dol. Prywatnie miliarder jest długoletnim przyjacielem Donalda Trumpa. Sam Ruddy lubi określać siebie jako nieformalnego doradcę amerykańskiego prezydenta, choć to niekoniecznie prawda. Byli współpracownicy Donalda Trumpa, którzy chętnie puszczają anonimowo farbę, mówili, że wpływ Ruddy'ego to często iluzja, którą sam CEO Newsmax ochoczo pielęgnuje. Niemniej przyjaźń między panami jest faktem i ma pewne walory transakcyjne.

Przed 2020 r. Newsmax był niszową stacją, która gromadziła średnio kilkadziesiąt tysięcy widzów w najlepszym czasie antenowym. Kanał od początku był prorepublikański i przychylny Trumpowi. Mimo to prezydent w trakcie pierwszej kadencji telewizję Ruddy'ego spuszczał po brzytwie i udzielał wywiadów tylko medialnym rekinom, w tym faworyzowanemu Fox News. Sytuacja zmieniła się diametralnie po wyborach w 2020 r. Fox News jako pierwsza duża stacja jeszcze podczas nocy wyborczej ogłosiła zwycięstwo Bidena w Arizonie, co wielu zwolenników Trumpa odebrało jako zdradę i przedwczesną kapitulację przed lewactwem. Sam Trump dostał wkurwu i zaczął zachęcać swoich wyborców do szukania alternatywnych w stosunku do zdradzieckiego Foxa stacji. Newsmax natychmiast wykorzystał daną mu szansę. Kanał Ruddy'ego przez długi czas nie ogłaszał zwycięstwa Bidena i natychmiast poszedł w narrację o ukradzionych wyborach. W zasadzie można powiedzieć, że Newsmax przygarnął sieroty po Fox News tak samo, jak telewizja Republika przytuliła widzów Kurskiego po przejęciu TVP przez nowy rząd. Dalej poszło z górki.

eprasa.pl 6e87ff87ec

Reparacja za transformację

500 plus to bankructwo – elit

Pamiętasz, jak było 10 lat temu? Elity ekonomiczne i intelektualne Polski dostawały zbiorowego ataku histerii na sam dźwięk słów „500 plus”. Wadim Tyszkiewicz grzmiał, że to bezmyślne rozdawnictwo, „najgłupszy system pomocy społecznej, jaki można było wymyślić”, „krok w stronę państwa socjalistycznego” i „pogłębianie patologii”. Ryszard Petru – wtedy przewodniczący Nowoczesnej – widział w tym „rozrzucanie pieniędzy z samolotu”, „prostą drogę do prawie bankructwa” i realizowanie w Polsce „wariantu greckiego”. Prof. Magdalena Środa w wywiadzie dla „Krytyki Politycznej” ostrzegała kobiety, że „pieniądze będą trafiały do mężów na ich potrzeby” i „w większości będą przepijane” oraz że „dużo jest takich kobiet, co będą rodzić kolejne dzieci dla 500 plus”. Przywoływała przykład dzieci trzymanych w szufladach zamiast w łóżkach. Forum Balcerowicza dorzucało wizje zapaści finansów publicznych, rozrostu szarej strefy i „dezaktywizacji kobiet”. W skrócie: Polska miała runąć, kobiety miały wrócić do garów, a dzieci – dryfować w oparach „socjalnej patologii”.

A potem minęło 10 lat, przyszły liczby i jakoś nie chciały potwierdzić tych wizji. Skrajne ubóstwo, czyli sytuacja, w której nie starcza nawet na minimum egzystencji, w latach rządów PO–PSL oscylowało wokół 6–7 proc. osób w gospodarstwach domowych. Po wprowadzeniu 500 plus spadło do ok. 4–5 proc. w latach 2016–2022, a największy spadek dotyczył rodzin z trojgiem i większą liczbą dzieci. Dokładnie tam, gdzie elity widziały „hodowanie patologii za państwowe pieniądze”, statystyka zapisała najwyraźniejszą poprawę. Skrajne ubóstwo wymknęło się z ich opowieści. Liczby pokazały, że pieniądze nie poszły w większości na alkohol, tylko na jedzenie, odzież i podstawowe potrzeby dzieci.

Tu jest sedno: wprowadzone przez PiS 500 plus okazało się nie tyle jałmużną, co mechanizmem redystrybucji godności. W społeczeństwie rynkowym udział w konsumpcji jest brutalnym, ale realnym językiem przynależności – nie wystarczy być „porządnym człowiekiem”, trzeba jeszcze móc wysłać dziecko na wycieczkę, kupić mu buty, których nie wstyd pokazać w szkole. Nagle miliony ludzi, wcześniej spychanych w strefę wstydu, dostały regularny przelew, który pozwalał przeżyć miesiąc bez żonglowania chwilówkami i pożyczaniem „do pierwszego”. Z raportów o ubóstwie wynika, że poprawa sytuacji dochodowej najuboższych gospodarstw domowych szła w parze ze zmniejszeniem ich zadłużenia – mniej życia na kredyt, więcej elementarnej sprawczości. To nie była moralna degeneracja. To był koniec permanentnego upokorzenia.

Patrząc na to z perspektywy zwykłych ludzi, program był czymś w rodzaju reparacji za transformację. Tym, których przez lata poucza-



Rys. TOMASZ WIATER

no: „trzeba było się uczyć”, „wziąć się do pracy”, ktoś wreszcie powiedział: „tak, państwo jest wam coś winne”. Transfer bezpośredni – gotówka do ręki, bez 10 formularzy i upokarzających wywiadów środowiskowych – okazał się jedną z najskuteczniejszych metod walki z biedą, bo pieniądz nie zdążył po drodze wyparować w kosztach obsługi systemu. To też była cicha emancypacja: kobiety nie musiały już tłumaczyć urzędniczce po raz setny, dlaczego nie stać ich na kurtkę zimową dla dziecka. Po prostu ją kupowały.

Elity ostatecznie pogrzebały swoją wiarygodność – i to spektakularnie. Ludzie z tytułami profesorskimi, prezesi think tanków, komentatorzy z „postępowych mediów” trzymali się jednego dogmatu: „państwo nie może dawać za dużo biednym, bo biedni się zdemoralizują”. Tymczasem państwo dało. I co się stało? Finanse publiczne nie eksplodowały: w kolejnych latach po wprowadzeniu programu dług publiczny Polski utrzymywał się poniżej średniej unijnej, a gospodarka, mimo pandemii i kryzysów, nie zamieniła się w grecki dramat fiskalny. Za to w kryzysie reputacji znalazła się pewna formacja intelektualna, której „eksperckie” przewidywania okazały się bardziej emanacją klasowej pogardy niż rzetelną analizą.

Jest jeszcze polityczny wymiar tej historii: 500 plus, potem zwaloryzowane w programie „Rodzina 800 plus”, zbudowało w Polsce zalążek państwa dobrobytu. Przez dekady każdą próbę szerszej polityki społecznej wyśmiewano jako rozdawnictwo, kupowanie głosów czy powrót do PRL. Tymczasem poparcie dla programu od początku było masowe – już w 2016 r. CBOS pokazywał ok. 80 proc. zwolenników, w tym 65 proc. wyborców PO i 62 proc. wyborców Nowoczesnej, czyli partii, których liderzy najgłośniej krzyczeli o katastrofie. Ludzie intuicyjnie rozumieli, że to nie jest fanaberia, tylko minimum cywilizacyjne: państwo, które nie wstydzi się wspierać rodzin, zamiast traktować je jak petentów w kolejce po łaskę.

I teraz dochodzimy do normy zachodniej, która tak bardzo straszyła lokalnych wyznawców Balcerowicza. W Niemczech od stycznia 2023 r. Kindergeld wynosi 250 euro miesięcznie na każde dziecko – świadczenie jest powszechne, nieuzależnione od dochodów i wypłacane dłużej niż w Polsce, bo nawet do 25. roku życia dla uczących się. Austria ma jeden z najbardziej rozbudowanych systemów w Europie: kwota rośnie wraz z wiekiem dziecka i liczbą dzieci, a zasiłek jest czymś tak oczywistym jak chleb w sklepie. Francja od dekad prowadzi szeroką politykę prorodzinną, z dodatkami na dzieci od drugiego wzwyż, które dla większości rodzin są realnym wsparciem budżetu. Wielka Brytania wypłaca Child Benefit od 1946 r. Kraje skandynawskie – Dania, Norwegia, Szwecja – także funkcjonują w modelu powszechności: stała kwota na każde dziecko, z dodatkowymi bonusami dla rodzin wielodzietnych, to część ich tożsamości politycznej, a nie kontrowersja dnia. Ale nie tylko kraje starej UE prowadzą takie programy. Litwa i Estonia wprowadziły program inspirowany polskim 500 plus z uniwersalnym świadczeniem na każde dziecko. Polska nie była szalonym eksperymentem na żywym organizmie – skorzystała z najlepszych przykładów, a potem nawet stała się wzorem dla innych.

Oczywiście 500 plus nie jest panaceum. Nie rozwiązało problemu braku mieszkań, śmieciowych umów, chronicznej słabości usług publicznych, związkowej pustyni i całego katalogu nadużyć codziennego kapitalizmu. Wielu beneficjentów programu dalej pracuje ponad siły za grosze, a szkoła i służba zdrowia wciąż działają jak zajechany silnik na ostatnich obrotach. Ale to, że świadczenie nie naprawiło wszystkiego, nie unieważnia tego, co realnie zmieniło: spadku biedy, poprawy materialnego bezpieczeństwa rodzin, wzmocnienia pozycji dzieci z najbiedniejszych domów. Unieważnia za to coś innego – tamte proroctwa o moralnym upadku i nadchodzącej Grecji nad Wisłą.

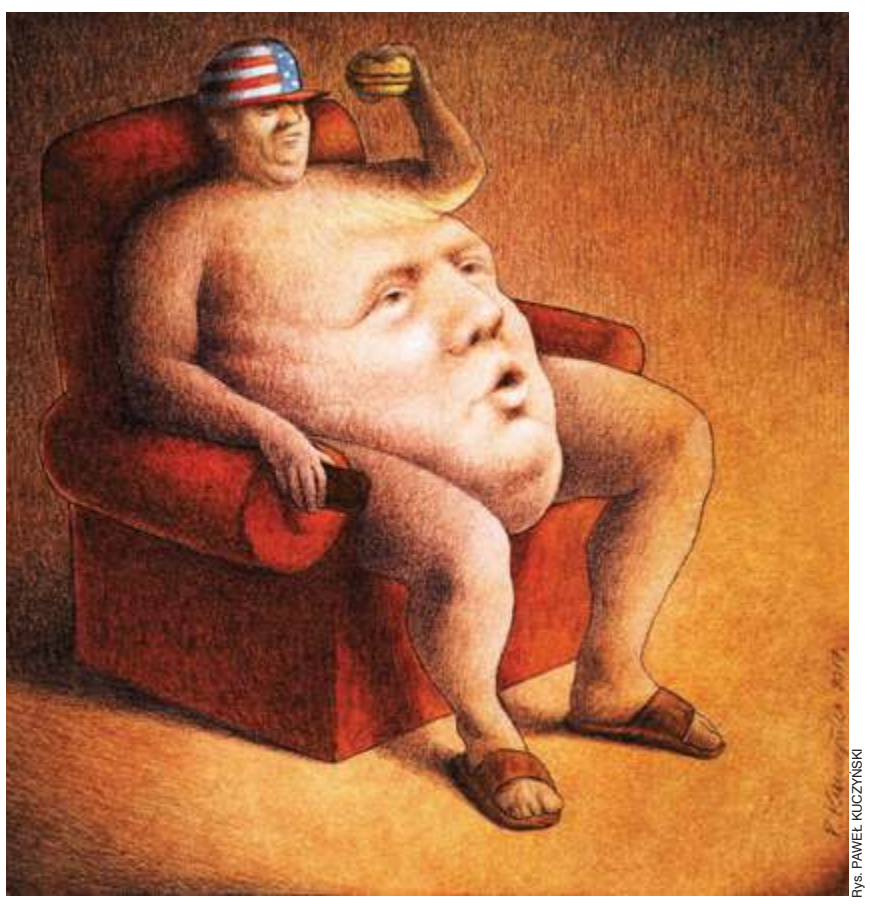
No i wreszcie pytanie, które naprawdę warto sobie zadać: co przeszkadzało elitom najbardziej? Deficyt budżetowy czy perspektywa, że kasjerka z dyskontu będzie miała dość pieniędzy, żeby pojechać z dziećmi nad morze, a nie tylko obsługiwać cudze wakacyjne zakupy? Czy obawiali się „dezaktywizacji kobiet”, czy raczej tego, że kobiety z klasy ludowej przestaną przyjmować z pokorą narrację o „samodzielności” i „zaradności”, kiedy przez trzy dekady państwo oferowało im głównie bezrobocie, śmieciówkę, upomnienie z banku i list z pogróżkami z urzędu skarbowego? Bo kiedy odrzesz te wszystkie mądre słowa o „racjonalnej polityce fiskalnej”, zostaje banał. Instynktowny sprzeciw wobec tego, że ci na dole dostaną wreszcie coś bez upokarzającego egzaminu z wdzięczności.

10 lat po wprowadzeniu 500 plus możemy uczciwie powiedzieć: Polska nie zbankrutowała. Zbankrutowała za to pewna wizja świata i autorytet elity – jej samozwańczy komitet honorowy.

Ta wizja leży dziś w szufladzie razem z opowieściami o dzieciach śpiących w szufladach jako polakierowany bełkot klasowej pogardy. A państwo dobrobytu, jakkolwiek ułomne, okazało się znacznie bardziej racjonalne niż ci, którzy z takim zapałem chcieli bronić nas przed „socjalistycznym koszmarem”. Czyli przed pożądaną normalnością.

ANNA GRODZKA

Głos MAGA w twoim domu


Rys. PAWEŁ KUCZYŃSKI

Samo gęste

Newsmax marketingowo maluje się na stację, która nie boi się mówić „całej prawdy”, nie ugina się pod presją korporacji, kultury woke czy wspomnianych mainstreamowych mediów. W rankingach NewsGuard amerykańskiej organizacji oceniającej wiarygodność mediów Newsmax regularnie dostaje czerwoną notę za brak rzetelności i jednostronność, ale nie szkodzi. Dla najbardziej zatwardziałych lojalistów Trumpa „antysystemowość” stacji okazała się atrakcyjniejsza niż subtelność pozostałych prawicowych mediów. Niezależny konserwatywny punkt widzenia prezentowany przez kanał Ruddy’ego to z pewnością oferta dla koneserów. Na fali dezinformacji o przekręconych wyborach prezydenckich Newsmax przez wiele miesięcy mielił rozmaite teorie spiskowe. Jedną z nich był zarzut, że za masowym oszustwem wyborczym stała kanadyjsko-amerykańska firma Dominion Voting System dostarczająca sprzęt i oprogramowanie do głosowania. Za fałszerstwem zaś miał stać sam Hugo Chávez. W 2025 r. sąd w Delaware orzekł, że stacja świadomie nadawała fałszywe i oszczercze treści, wskutek czego Newsmax zabulił 67 baniek dolarów w ramach ugody z Dominion.

W 2024 r. przez Stany Zjednoczone przetoczył się polityczny skandal. W wyniku dziennikarskiego śledztwa CNN wyszło na jaw, że Mark Robinson, republikański kandydat na gubernatora Karoliny Północnej kilkanaście lat wcześniej brylował na forum pornograficznym Nude Africa. Robinson określał się tam nazistą wobec czarnych, wyrażał chęć przywrócenia niewolnictwa i wprowadzenie sterylizacji ciemnoskórych obywateli. Poza antysemickimi i antymuzułmańskimi komentarzami wyrażał entuzjazm dla pornografii transgenderowej, co nieco kolidowało z jego chrześcijańskim i konserwatywnym kręgosłupem. Newsmax stanął w obronie polityka, doniesienia nazywając rozdmuchanymi dyrdymałami, pomimo że CNN zaprezentowało twarde dowody. Pozostając w duchu wolności słowa i poglądów, Newsmax wielokrotnie usprawiedliwiał rasizm w wypowiedziach i tweetach samego Trumpa. Nic dziwnego. Ksenofobia i dyskryminacja rasowa doskonale wpisują się w kolejną prawicową narrację spiskową – teorię wielkiego zastąpienia. Jest to założenie, wedle którego lewicowe elity polityczne i medialne świadomie i celowo realizują plan zastąpienia białej chrześcijańskiej populacji imigrantami o innym kolorze skóry, najczęściej wyznających islam. W efekcie biali mają zostać zepchnięci do mniejszości we własnych krajach, stracić dominację kulturową, polityczną i demograficzną, a w skrajnych wersjach zostać eksterminowani. Lekarstwem na tę bolączkę mają być rządy nacjonalistycznej prawicy. Koniec równych praw dla imigrantów umożliwi bowiem białym chrześcijańskim mężczyznom dominację w społeczeństwie i uchwalenie praw wzmacniających tradycyjne hierarchie: religijną i patriarchalną. Brzmi znajomo. Czy zatem oferta ideowa Newsmax zdoła wrosnąć w polską przestrzeń medialną?

Teleszajs

Polski rynek kanałów informacyjno-publicystycznych jest równie zatłoczony, co podzielony. Zwolennicy prawicy mają TV Republika i wPolsce24, centryści – TVN24 i jego odnogi, niezdecydowani – Polsat, a wkrótce do puli dołączy Kanał Zero TV. Obecne na rynku prawicowe stacje mają swoich wiernych widzów, którzy zapewne zerkną z ciekawości, ale raczej nie opuszczą ulubionych mediów. Jeśli Newsmax pokaże świeżą formułę i zbuduje atrakcyjny portal internetowy, być może zgarnie młodszych fanatyków prawicy, którym tradycyjne media kojarzą się z emeryckim próchnem. Ta sztuczka mogłaby się udać, gdyby stacja w swoje szeregi ściągnęła internetowych publicystów z dużymi zasięgami. Wszystko to jednak póki co pozostaje w sferze domysłów.

Z pewnością debiut polskiej wersji Newsmax wpisuje się w założenia amerykańskiej strategii wspierania w Europie skrajnych ruchów nacjonalistycznych dla osłabienia jedności UE. Przygotowuje też grunt pod rychłe wybory parlamentarne w kraju nad Wisłą.

Środowisko skupione wokół Donalda Trumpa wydaje się zdeterminowane w chęci przemeblowania europejskiego podwórka na swoją modłę.

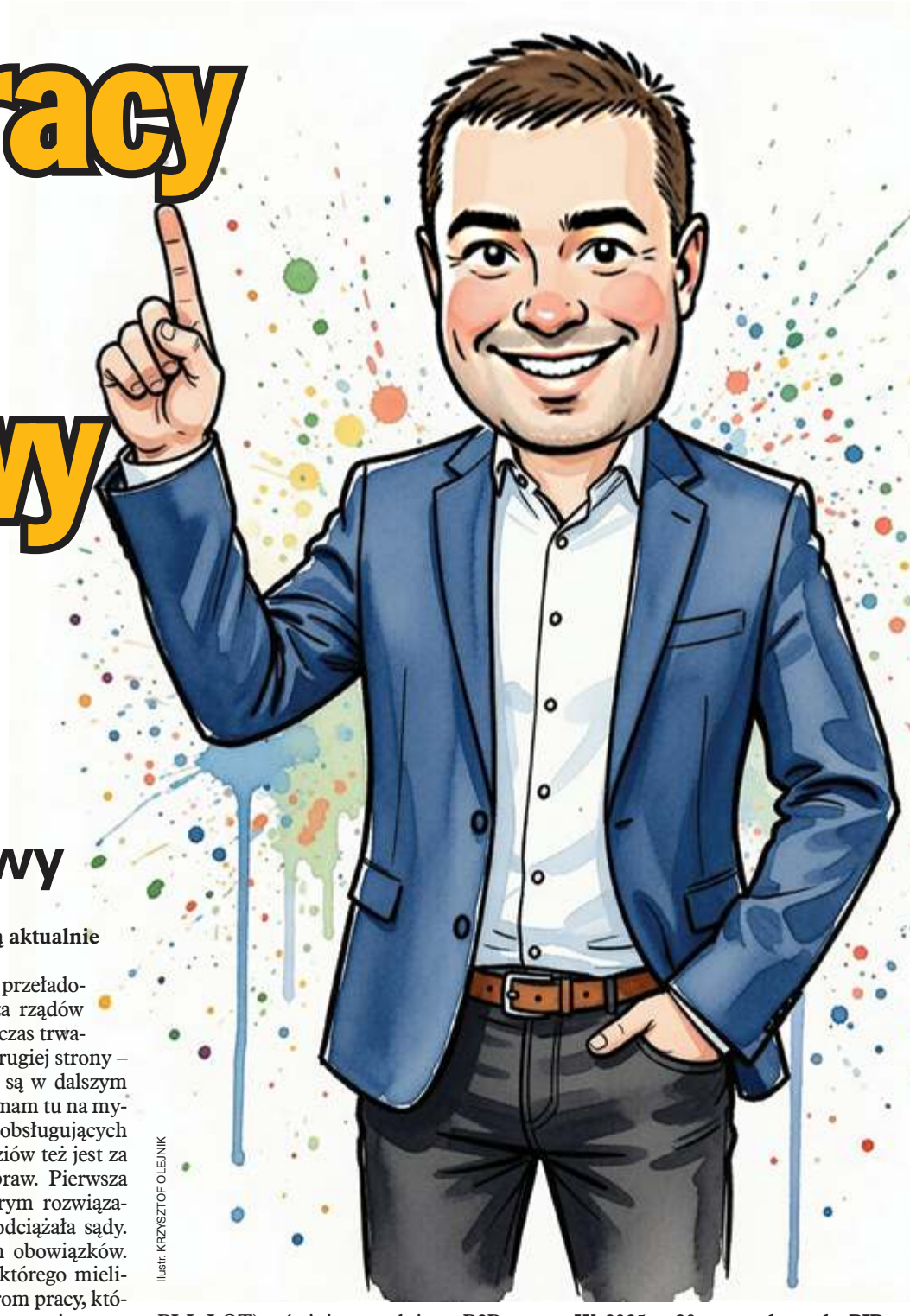
Administracja Stanów Zjednoczonych pracuje nad uruchomieniem nowego portalu internetowego, który ma umożliwić użytkownikom na całym świecie omijanie rządowych ograniczeń dostępu do treści. Według doniesień agencji Reuters projekt ma pozwolić m.in. Europejczykom na przeglądanie materiałów blokowanych na podstawie przepisów dotyczących treści terrorystycznych czy mowy nienawiści. Portal ma przeciwdziałać nie tyle całkowitemu wyłączeniu dostępu do sieci jak np. w Iranie, ile europejskim regulacjom dotyczącym nielegalnych treści, takim jak unijny Akt o usługach cyfrowych (DSA) czy brytyjski Online Safety Act. Strona ma już swój adres: freedom.gov. Na razie widnieje na niej hasło: „Informacja to siła. Odzyskaj swoje prawo człowieka do wolności wypowiedzi. Przygotuj się”. Amerykańska medialna armia wyzwoleńcza już nadciąga, z całym bagażem kontrowersji i konsekwencji.

IDALIA DUBICKA

eprasa.pl 6e87ff87ec

Rynek pracy dalej śmieciowy

„NIE” rozmawia z PIOTREM SZUMLEWICZEM, przewodniczącym Związkowej Alternatywy



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

– Czym się różni pierwszy projekt ustawy dotyczącej rozszerzenia kompetencji Państwowej Inspekcji Pracy od faktycznie przyjętej ustawy i co o niej sądzisz?

– Temat zamiany umów cywilnoprawnych na umowę o pracę jest jednym z kamieni milowych KPO, w związku z tym nie jest to inicjatywa rządu, tylko Unii Europejskiej. W tej nowej wersji ustawy zmieniono de facto priorytety – ustawa jest korzystna dla wszystkich poza pracownikami. Inspektor pracy może zdecydować o administracyjnej zamianie umowy cywilnoprawnej na umowę o pracę, ale wtedy – ważna zmiana w porównaniu z pierwszą wersją – pracodawca może skierować sprawę do sądu, co blokuje zamianę umowy do końca trwania procesu. Na dodatek w momencie, kiedy wkroczy PIP i zażąda zamiany umowy cywilnoprawnej na etat, pracodawca może odmówić i dokonać takich zmian, aby zatrudnienie przestało spełniać kryteria umowy o pracę. Po drugie: jeśli przedsiębiorca pójdzie do sądu – obecnie sprawy w sądach pracy np. w Warszawie trwają po 3–4 lata – i po tych kilku latach PIP wygra w imieniu pracownika, ten nic z tego nie uzyska. Żeby ubiegać się o jakiekolwiek odszkodowanie, będzie musiał sam iść do sądu. Mam wrażenie, że rząd przedstawia tę ustawę na odwal się, żeby Komisja Europejska była spokojna, a przedsiębiorcy zadowoleni. Władza korzysta z tego, że Komisja Europejska niezbyt uważnie przygląda się spójności i jakości funkcjonowania polskich instytucji. Jeżeliby się zdarzyło, że PIP zamieni np. 10 tys. umów cywilnoprawnych na etaty i z tego 8 tys. pracodawców się odwoła, to kto będzie w imieniu inspekcji pracy reprezentował pracowników przed sądem? PIP nie ma tylu prawników. A nic nie słychać o nowelizacji budżetu i radykalnym zwiększeniu wydatków na PIP. Dlatego nowe pomysły rządu w praktyce niestety będą martwe, bo obecnie PIP nie jest instytucją, która mogłaby wziąć na siebie poważną zmianę rynku pracy w świetle nowych przepisów.

– Czyli nowe prawo nic nie zmieni?

– Znacznie lepszym rozwiązaniem była pierwsza wersja, bo PIP była na nią bardziej przygotowana. Na pewno i tak będzie nieco lepiej – do tej pory, żeby zamienić śmieciówkę na umowę o pracę, pracownik sam musiał iść do sądu. Na dodatek w momencie, kiedy pracodawca zaskarżył decyzję inspekcji, PIP mogła reprezentować pracownika w sądzie tylko za jego zgodą – a pracownicy boją się zgodzić, bo ryzykują utratą pracy. Chciałbym więc zmiany przepisów, ale jeśli ta ustawa miałaby przejść w kształcie obecnie rekomendowanym przez rząd, to byłaby skuteczna, gdyby PiP miała 2–3 razy więcej inspektorów oraz armię prawników.

– A w jakim stanie są aktualnie sądy pracy?

– Są przede wszystkim przeładowane. Z jednej strony za rządów PiS bardzo wydłużył się czas trwania spraw sądowych. Z drugiej strony – zarobki w sądownictwie są w dalszym ciągu bardzo niskie; nie mam tu na myśli sędziów, tylko ludzi obsługujących cały system. Zresztą sędziów też jest za mało w stosunku do spraw. Pierwsza wersja ustawy była dobrym rozwiązaniem m.in. dlatego, że odciążała sądy. PIP przejęłaby część ich obowiązków. Nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy nie ufać inspektorom pracy, którzy zazwyczaj znają się na prawie pracy lepiej niż sędziowie.

– Chcemy walczyć z nadużyciem umów typu business-to-business, a tymczasem na B2B państwo chce wysłać kurierów Poczty Polskiej, tłumacząc, że tak robi FedEx i InPost. Skąd ten pomysł?

– Jedna ogólna uwaga: PIP dzisiaj kontroluje umowy-zlecenia w znacznie większym stopniu niż B2B. Tak się dzieje, dlatego że trudniej jest wykazać pozorność zatrudnienia cywilnoprawnego przy B2B niż przy umowie-zleceniu. Dodatkowo w polskim orzecznictwie sądowym zdarzały się skandaliczne wyroki mówiące mniej więcej tyle, że choć umowa z danym pracownikiem powinna być umową o pracę, to B2B jest przecież umową dwóch firm, więc organy państwowe nie powinny w żadnej mierze w nią ingerować. Ponadto polskie państwo przez lata akceptowało B2B w spółkach skarbu państwa. Co ciekawe, jeden z głośniejszych wyroków w sprawie zamiany B2B na etat dotyczył OPZZ – dużej centrali związkowej, która latami zatrudniała pracownicę w ramach B2B i w końcu, prawomocnie, przegrała z nią proces. Natomiast takich wyroków jest niewiele i tu kluczowa wydaje się zmiana podejścia PIP. A dlaczego Poczta Polska to rozważa? Bo może. Tak robi PLL LOT, TVP i wiele innych spółek skarbu państwa.

– Jak wypadamy pod kątem „uśmieciowienia” rynku pracy w porównaniu z innymi państwami europejskimi?

– We wszystkich krajach Europy Zachodniej rynki pracy zdominowane są przez układy zbiorowe, czyli porozumienia między pracodawcami a związkami zawodowymi, zgodnie z którymi w danej branży i na danym stanowisku muszą być spełnione określone warunki. Pod tym względem w Polsce na wielu poziomach funkcjonuje bezprawie, które wiąże się z jednej strony ze słabością inspekcji pracy, z drugiej – z przyzwoleniem rządu na omijanie przepisów, a jeszcze z trzeciej – ze strukturalną słabością związków zawodowych. W Niemczech związki zawodowe negocjują warunki pracy na poziomie branży. U nas konkurencja między dużymi podmiotami prowadzi do równania w dół. Najpierw prezes Milczarski (były prezes PLL LOT) mówi, że zatrudnia na B2B, a potem prezes Ryanaira na Polskę mówi że skoro LOT wprowadził B2B, to jemu też wolno. Tak na marginesie: pierwotny kształt KPO zakładał, że należy identycznie opodatkować i oskładkować wszystkie rodzaje umów. Na pewno byłby to silny bodziec do ograniczenia patologii, bo zatrudnianie na B2B przestałoby się opłacać. Część przedsiębiorców nawet popierała ten kierunek zmian, ale Tusk go odrzucił.

– Jakie związki zajmują się sytuacją w Poczcie Polskiej i jak wygląda przyszłość jej pracowników?

– Jako Związkowa Alternatywa działamy w Poczcie Polskiej, jednak muszę z przykrością powiedzieć, że od lat panuje tam marazm. Większość pracowników zarabia płacę minimalną, ludzie są zastraszeni, a związków zawodowych jest dużo, ale są słabe i skłócone ze sobą. Największe organizacje związkowe są zblatowane z tym czy innym rządem: OPZZ bardziej z obecną władzą, Solidarność bardziej z pisowską, ale jedni i drudzy tkwią w różnych chorych układach. Liderzy czołowych centrali mają na poczcie etaty związkowe i zarabiają o wiele więcej niż pozostali pracownicy, a więc są wąską uprzywilejowaną kastą. Dobrze byłoby, jakby poczta została poddana dużej systemowej reformie. Poczta tradycyjna będzie odchodzić w przeszłość, natomiast kolejne pomysły na jej reformę rozczarowują. Rozumiem, że świat się zmienia, poczta będzie prawdopodobnie się informatyzować i to będzie wymagało mniejszej liczby pracowników. W takim układzie uczyńmy Pocztę Polską firmą, gdzie pracuje nawet trzy razy mniej pracowników niż obecnie, ale niech oni będą świetnie opłacanymi profesjonalistami. Jeśli zwalniamy, dajmy godne odprawy. Tymczasem słyszę, że zwalniamy połowę pracowników, a tych, których zostawiamy, będziemy wynagradzać tak samo, tylko na śmieciówkach. Pomysł, żeby pracowników Poczty Polskiej – która jest częścią infrastruktury bezpieczeństwa kraju – przerzucać na umowy cywilnoprawne, jest szkodliwy. Zatrudnianie na umowach cywilnoprawnych w tak strategicznych wymiarach funkcjonowania państwa jak linie lotnicze, kolej, poczta, wodociągi jest ryzykowne dla bezpieczeństwa państwa.

– W 2025 r. 30 proc. skarg do PIP było bezzasadnych. To dużo czy mało?

– Moim zdaniem to bardzo mało. Oczywiście zdarzają się bezzasadne skargi, zdarza się, że pracownik jest winny. Warto też pamiętać, że dużo jest takich obszarów funkcjonowania rynku pracy, gdzie trudno jednoznacznie powiedzieć, czy coś jest zasadne, czy nie. Na przykład: PIP niestety nie ma żadnych uprawnień, żeby zajmować się mobbingiem i nie podejmuje decyzji, czy zarzut o mobbing jest słuszny. Są takie sprawy, które są brutalnym łamaniem praw pracowniczych, a inspekcja pracy i inne instytucje państwowe mają niewiele do powiedzenia. Między innymi dlatego proponujemy, żeby w PIP powstała służba mundurowa wkraczająca w przypadku najcięższych form łamania praw pracowniczych. Ten model obowiązuje we Francji i na wielu obszarach dobrze działa. Przykładowo, w Polsce pracują setki tysięcy pracowników ukraińskich. Przy pierwszej fali migracji Ukraińców do Polski z międzynarodowych raportów wynikało, że w Polsce skokowo wzrosła skala niewolnictwa – pracodawcy zabierali dowody osobiste, zamykali na klucz, zmuszali do pracy po 18 godzin dziennie. To jest sprawa pracownicza, ale też kryminalna i powinna istnieć wyspecjalizowana jednostka, która wkracza w momentach brutalnego łamania praw pracowniczych. Warto więc stworzyć jednostkę mundurową chroniącą pracowników przed bezprawiem – a zarazem my jako związkowcy proponujemy, że chętnie byśmy PIP pomogli. W Szwecji związki zawodowe posiadają część uprawnień inspektorów pracy, w tym mają uprawnienia do ukarania pracodawcy mandatem.

– A co myślisz o Agnieszce Dziemianowicz-Bąk jako minister pracy? Kiedy odbierała tekę ministerialną, wielu widziało w niej nadzieję na polepszenie sytuacji w wymiarze społeczno-pracowniczym.

– Dziemianowicz-Bąk jest dla mnie jednym z większych rozczarowań. Tak naprawdę ona niewiele różni się od Marleny Maląg, jej odpowiedniczki z PiS. Jeżeli chodzi o poziom dialogu, to momentami jest wręcz gorzej – ona bojkotuje Związkową Alternatywę jako niepokorny związek. Ma za to swoich bliskich związkowych przyjaciół: OPZZ z Konfederacją Pracy na czele czy Inicjatywę Pracowniczą. Druga sprawa to kwestia jej agendy programowej, którą jestem rozczarowany.

Dziemianowicz-Bąk najbardziej chwali się wolną wigilią – co to za sztandar dla polityczki lewicy? Rzeczy poważniejsze, typu renta wdowia czy babciowe, są kolejnymi programami pieniężnymi kontynuującymi pomysły pisowskie.

Nie ma tutaj żadnych rozwiązań dotyczących poprawy jakości usług publicznych ani systemowych zmian na rynku pracy. Mam też wrażenie, że ministra pracy jest niesamodzielna. Sprawia wrażenie, jak gdyby ministerstwem rządzili jej doradcy, czyli Sebastian Gajewski i Liwiusz Laska – ludzie związani z OPZZ, którzy bronią swoich partykularnych interesów.

– Nieszczególnie walczyła również o pierwotny kształt ustawy o PIP.

– Cechuje się ewidentną słabością polityczną, bo nawet jeśli zgłasza sensowne propozycje, to czyni to tak, jak gdyby była politykiem opozycji. Jeśli propozycja zamiany umów cywilnoprawnych na etaty w pierwotnej wersji została przez Tuska odrzucona pstryknięciem palca, to świadczy o tym, że ustawa nie była dla Lewicy priorytetem. Koalicyjne rządy oznaczają, że każdy z członów koalicji uznaje wybrane sprawy za kluczowe i ich realizacja jest warunkiem trwania rządu. Najwyraźniej walka ze śmieciówkami nie była dla Lewicy priorytetem. Jestem też rozczarowany bieżącymi działaniami Dziemianowicz-Bąk. Niedawno nagłośniliśmy sprawę Zbigniewa Derdziuka, który będąc prezesem ZUS, jednocześnie zasiada w radzie nadzorczej prywatnej spółki handlowej Relpol. To jawna sprzeczność interesów i otwarte złamanie ustawy antykorupcyjnej. Apelowaliśmy do pani minister, żeby go zdymisjonowała – zero reakcji.

– A gdybyś miał porównać stan praw pracowniczych za PiS i za PO?

– Bezbramkowy remis. Niewiele się zmieniło. W 2024 r. pojawiła się pewna nadzieja, bo jedną z pierwszych decyzji nowego rządu była podwyżka funduszu płac w sektorze publicznym o 20 proc. Za rządów PiS nie było tego typu podwyżek. Ale już w latach 2025 i 2026 znowu mamy zamrożenie wynagrodzeń. Za nowej koalicji nie weszło żadne nowe istotne rozwiązanie odnośne do praw pracowniczych prócz implementacji dyrektyw unijnych. Na dodatek Polska wdraża prawo unijne w taki sposób, o którym mówiłem wcześniej – żeby niewiele się zmieniło. Za rządów PiS była olbrzymia skala kolesiostwa, ale za nowej władzy również nie ma systemowych rozwiązań do walki z nepotyzmem i korupcją. Obiecywano wprowadzenie konkursów, transparentność, jawność płac i prawie nic się nie wydarzyło w tym obszarze. Jesteśmy dość bogatym krajem, a rynek pracy dalej jest śmieciowy, nie ma układów zbiorowych, za to utrzymuje się wysoki poziom nierówności i duże przyzwolenie na bezprawie. Apelowaliśmy w ostatnich miesiącach do ministra Waldemara Żurka, żeby zainteresował się utrudnianiem działalności związkowej, co w wielu firmach ma miejsce – nawet w polskim oddziale Nokii, firmy, która współtworzyła fińskie *welfare state*. Niestety, reakcji brak. Co się dzieje z Derdziukiem, o którym wcześniej wspominałem? Tą sprawą nawet opozycja się nie interesuje. Pewnie dlatego, że lokalni włodarze wszystkich partii łamią ustawę antykorupcyjną. Na scenie politycznej wciąż brakuje sił propracowniczych.

Rozmawiała **ANTONINA STEFFEN**

eprasa.pl 6e87ff87ec

Pieski interes

Według statystki na jednego Polaka przypada 0,21 psa



Rys. PAWEŁ KUCZYŃSKI

24 stycznia w Sobolewie było zimno, mokro i nerwowo. Pod bramą schroniska Happy Dog zebrał się tłum. Z jednej strony aktywiści prozwierzątkowi i część mieszkańców, trzymający transparenty, telefony i zdjęcia. Z drugiej – ludzie, którzy przyszli bronić wójta, a przy okazji samej gminy, jej dobrego imienia i świętego spokoju. Między nimi krążyli dziennikarze.

Spór dotyczył miejsca, które w internecie funkcjonowało w dwóch równoległych rzeczywistościach. W jednej – tej opowiadanej przez aktywistów – były wychudzone psy, brudne boksy, brak opieki weterynaryjnej i obojętność władz. W drugiej – było normalnie. Adopcje, porządek i nagonka napędzana przez „organizacje, które chcą zrobić biznes".

Premier pod psem

Ci, którzy przyszli bronić wójta, nie mieli wątpliwości co do jednego – samorząd działa dobrze. „Jeden z najlepszych wójtów. Robił wszystkie drogi, gdzie można było. Najlepszy wójt, jakiego mieliśmy do tej pory praktycznie" – mówił jeden z uczestników zgromadzenia. A skoro są drogi, jest asfalt i inwestycje, to znaczy, że władza jest w porządku. A skoro władza jest w porządku, to i schronisko musi być w porządku.

Ostre słowa padły pod adresem organizacji prozwierzątkowych. „Jakieś stowarzyszenie idiotyczne chce to przejąć, bo to dobry biznes z tego jest. Stowarzyszenie nie podlega kontroli weterynaryjnej i będą mieli pole do popisu wtedy" – mówił jeden z obrońców wójta. Według tej strony aktywiści nie byli bezinteresownymi obrońcami zwierząt, lecz graczami na rynku emocji, którzy zarabiają na dramatach, zdjęciach i medialnym hałasie. Schronisko stało się więc nie miejscem opieki nad psami, ale polem bitwy o wpływy, pieniądze i rozpoznawalność.

Ta narracja zderzyła się z prozwierzątkową – głośniejszą, bardziej emocjonalną i opartą na obrazach. A historie o psach zawsze działają. Zwłaszcza gdy są podane w pakiecie z oskarżeniami wobec lokalnej władzy, zdjęciami zza krat i pytaniem: „Jak to możliwe w XXI wieku?". Gdy do gry weszli celebryci, influencerzy i ogólnopolskie redakcje, Sobolew przestał być Sobolewem. Stał się symbolem.

Presja rosła. Pojawiały się kolejne interwencje, zapowiedzi kontroli, a w tle – pytania o odpowiedzialność samorządów za los zwierząt. W końcu temat dotarł na poziom centralny. I wtedy do sprawy musiał odnieść się rząd, z premierem Donaldem Tuskiem na czele.

Miłosierdzie gminy

Nie dlatego, że premier nagle zainteresował się losem psów w Sobolewie. Raczej dlatego, że medialny łomot, łkanie celebrytów i presja opinii publicznej stworzyły sytuację, w której brak reakcji byłby politycznie kosztowny. No to premier zadziałał po swojemu – kazał wojewodzie schronisko zamknąć. I polecił, żeby wszystkie schroniska były skontrolowane. Kontrole ruszyły. I choć w Polsce oficjalnie jest ok. 250 schronisk, to kontrole – według komunikatów – przeprowadzono w niemal 450. Nie mogły pokazać, że wszystko jest cacy, więc w komunikatach „niecacy" było w ok. 10 proc. schronisk. Bo przecież być musiało, żeby publika ostygła.

Tyle że publika nie ma pojęcia, iż zadekretowana empatia jest źródłem zysku. A prowadzenie schroniska dla zwierząt okazuje się jedną z najbardziej dochodowych form działalności gospodarczej. Nie dlatego, że Polacy tak kochają psy i koty, że gotowi są płacić, by te żyły dostatnio. Ale dlatego, że państwo nałożyło obowiązek istnienia takich placówek na gminy, a jednocześnie nie zadbało o żaden sensowny mechanizm kontroli. Efekt? Zamiast instytucji opieki mamy fabryki pieniędzy dla właścicieli schronisk.

Na pierwszy rzut oka wszystko wygląda jak należy. Gminy są zobowiązane do zapewnienia opieki bezdomnym zwierzętom. Samorząd ogłasza przetarg, który wygrywa podmiot prywatny. Z reguły jeden, bo w okolicy nikt inny schroniska nie prowadzi. Umowa zostaje podpisana, pieniądze zaczynają płynąć. Co się dzieje dalej, nie interesuje już nikogo.

Najwyższa Izba Kontroli w raporcie z 2023 r. wykazała, że aż 90 proc. funduszy na walkę z bezdomnością zwierząt gminy przeznaczają nie na zapobieganie tej bezdomności, lecz na radzenie sobie z jej skutkami. Znaczy na wyłapywanie, przewóz i przechowywanie zwierząt w schroniskach. A konkretnie – na wypłacanie ryczałtów właścicielom tych miejsc. Koszty? Od 3,9 tys. zł rocznie za jednego psa. W skali kraju – kilkaset milionów złotych. Z szacunków NIK wynikało, że roczne wydatki mogą sięgać powyżej miliarda złotych. Wydatki rosną – od 2019 do 2023 r. wzrost wyniósł 84,5 proc., choć liczba wyłapywanych zwierząt pozostawała na podobnym poziomie.

Gmina płaci, bo musi. Przetarg wygrała firma, która schronisko prowadzi, więc gmina uznaje temat za załatwiony. A że nie sprawdza się warunków, nie kontroluje faktur, nie weryfikuje losów zwierząt – to już norma. NIK stwierdziła, że aż 86 proc. gmin nie kontroluje wykonawców. Nie dlatego, że nie może. Po prostu nie chce. Pieniądze poszły, obowiązek wykonany, temat z głowy.

Należy się jak psu

Na tym tle wyłania się model biznesowy idealny. Schronisko podpisuje umowę z kilkoma gminami, każda płaci setki tysięcy złotych rocznie w zależności od liczby zwierząt.

A im dłużej pies w kojcu, tym lepiej. Z adopcji pieniędzy od gminy nie ma. Z eutanazji – też nie. Liczy się utrzymanie. Im więcej zwierząt, im dłużej siedzą, tym większy zysk.

Ten zaś można jeszcze podnieść, bo przecież za odławianie wałęsających się zwierzaków też jest samorządowa kasa. Czasem nawet 3 tys. zł. No to się zwierzaka lipnie wydaje do adopcji, ten właścicielowi ucieka i jest szczęśliwie odłowiony, po czym trafia do schroniska. Finansowe perpetuum mobile. A na dodatek zawsze można puścić w sieci trochę fotek i wezwać ludzi do przynoszenia karmy.

Dlatego niektóre schroniska zarabiają miliony. Przykład z Bytomia. Budy za 13 tys. zł, których nie ma, ale jacuzzi u kierowniczki – stoi. Bo nikt nie sprawdza. Nawet faktur. Schronisko może wystawić dokument na tysiące złotych za karmę, której pies z miski nigdy nie powącha. Może wykazać leczenie, które nigdy nie miało miejsca. Może nawet uśmiercać – nielegalnie – by zrobić miejsce dla kolejnych odłowień.

W 2014 r. NIK informowała, że w 86 proc. skontrolowanych schronisk nie zapewniono zwierzętom właściwych warunków. Co czwarty pies umierał. W wielu przypadkach nie dało się ustalić, co stało się z odłowionymi zwierzętami – brak czipów, brak dokumentacji. Gminy zlecały wyłapywanie donikąd, czyli bez zabezpieczenia miejsc w schroniskach. Zwierzę znikało. I nikt nie wiedział ani gdzie, ani dlaczego. Po dekadzie niewiele się zmieniło.

A co z zapobieganiem bezdomności? Kastracja, czipowanie, edukacja? Teoretycznie to też obowiązek gmin. W praktyce – nie ma na to pieniędzy. Bo wszystko pochłaniają schroniska. Z danych NIK wynika, że w 2023 r. w całej Polsce oznakowano tylko 192 i wykastrowano 202 zwierzęta właścicielskie. Dwa psy na gminę.

Jednocześnie prywatne schroniska nie mają interesu, by problem bezdomności zniknął. Wręcz przeciwnie – istnienie problemu to podstawa ich funkcjonowania. To właśnie mówiła Dorota Rabczewska: dopóki bezdomność się opłaca, dopóty będzie istniała. Schronisko nie jest azylem. To jest firma. To biznes. Dobrze ustawiony. Często bez realnej konkurencji. Bez nadzoru. Z wysoką rentownością i przewidywalnym przepływem gotówki. Z obrotem, marżą i zyskiem netto.

A prawo przecież takie działania chroni. Każdy przedsiębiorca może wygrać przetarg. Liczy się oferta. W Polsce działa ponad 230 zarejestrowanych schronisk. Część publicznych, część prywatnych. Te drugie niejednokrotnie są przekształceniem pierwszych. Samorządy, nie radząc sobie z obowiązkiem, „sprywatyzowały" problem, który teraz ma umowę, pieczątkę i NIP. Bo dla samorządowej sprawozdawczości najważniejsze są cyfry stanowiące dupochrony dla obowiązku utrzymywania schroniska. Gmin mamy 2479. To zaś oznacza, że w ponad 90 proc. z nich jest pole do popisu dla każdego, kto zadeklaruje, że chce zarabiać na bezdomności zwierząt.

TOMASZ BOROWIECKI

Wywiadowcy Unii

Kandydaci na szpiegów z okolic gier komputerowych

Spotkałem znajomego.

– Szukam pracy. Być może zostanę szpiegiem.

– Polskim?

– Europejskim. W Strasburgu.

Unia Europejska planuje powołanie nowej jednostki wywiadowczej, która ma „lepiej analizować informacje" napływające z państw członkowskich.

Sama formuła brzmi znajomo: analiza, koordynacja, wzmocnienie zdolności. Brakuje tylko słów „synergia" i „wartości europejskie", ale zapewne to kwestia kolejnej wersji komunikatu.

Projekt znajduje się na razie w fazie koncepcyjnej. Harmonogramu brak, struktury brak, zakresu kompetencji brak, za to nie brakuje obaw. Urzędnicy istniejącego już Centrum Wywiadu i Sytuacji UE – organu wywiadowczego Europejskiej Służby Działań Zewnętrznych, bezpośrednio podległego Wysokiemu Przedstawicielowi UE – nie kryją niepokoju, że nowy twór będzie dublował ich działania. A dublowanie sekretów, jak wiadomo, obniża ich tajność.

Krytycy idą jednak dalej i mówią wprost, że oto rodzi się kolejna europejska instytucja, której główną kompetencją będzie produkowanie dokumentów o tym, że w przyszłości powinna produkować dokumenty lepszej jakości. Jeszcze inni dodają, że jeśli UE rzeczywiście chce mieć wywiad, to wypadałoby najpierw zdecydować, kogo i po co ma śledzić.

Ale sprawa tylko na pozór wydaje się śmieszna. Mamy bowiem wojnę na Ukrainie, która nie chce się skończyć, rosnącą niepewność co do kolejnych wariactw Stanów Zjednoczonych pod wodzą Donalda Trumpa oraz naturalną potrzebę „większej autonomii strategicznej", zwłaszcza w scenariuszu, w którym NATO zaczyna przypominać klub dyskusyjny z ograniczonym entuzjazmem do obrony wzajemnej (vide: Grenlandia).

Europa więc myśli. A kiedy Europa myśli, myśli długo, kolegialnie i w kilku językach jednocześnie.

Mój rozmówca to mężczyzna. Jest po czterdziestce; były „zewnętrzny zasób do pisania kodów" w branży gier komputerowych. Człowiek, który przez lata optymalizował algorytmy zachowań postaci, balansował ekonomie wirtualnych światów i poprawiał wydajność systemów, które musiały reagować szybciej, niż gracz zdążył się zdenerwować. Teraz przechodzi proces rekrutacyjny do instytucji, która dopiero się zastanawia, czym właściwie chce być.

Najpierw podpisał klauzulę poufności, z której wynika, że nie może nikomu powiedzieć nic, bo „go zastrzelą" albo, co w unijnych realiach gorsze, wykluczą z kolejnego naboru. Następnie dowiedział się, że być może zostanie dopuszczony do testu, który oceni jego przydatność operacyjną. Sam twierdzi, że to coś w rodzaju sprawdzianu atrakcyjności w roli europejskiego Bonda, choć raczej bez Martini i Astona Martina.

Nie wiadomo, czy będzie strzelał, podsłuchiwał, łamał szyfry, czy tylko optymalizował działanie Excela z danymi wywiadowczymi. Ale jedno jest pewne:

Unia Europejska jest dumna, bo cyfrowy wywiad potrzebuje cyfrowych ludzi. A kto lepiej nadaje się do cyfrowej rzeczywistości niż człowiek, który całe życie spędził w symulakrach?

Bruksela chce więc własnej tajnej służby. Bez terminu powstania, bez jasno określonych kompetencji, za to z pełnym zestawem komunikatów o „wzmocnieniu zdolności analitycznych", „lepszej wymianie informacji" i „nowej jakości bezpieczeństwa". Gdzieś obok, w cieniu procedur i endiejów (Non-Disclosure Agreement – „umowa o zachowaniu poufności"), siedzi przyszły agent 007 UE i milczy, bo tak kazała mu klauzula.

Innymi słowy, Europa śpi spokojnie. Jej komórka wywiadowcza dopiero się konceptualizuje. A jeśli coś pójdzie nie tak, zawsze można powołać kolejną grupę roboczą, która przeanalizuje, dlaczego analiza była niewystarczająca.

JMP

MÓŻDŻEK TYGODNIA



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Przywykł już do pobytu w szafie: do ciemnoty (czy ciemności), zapachu naftaliny i mgły smoleńskiej, do posmaku valium. Mógłby tam siedzieć latami, co nie znaczy, że nie cieszył się, gdy raz na kilka miesięcy słyszał pukanie prezesa oznaczające zezwolenie na wyjście.

Wychodził, mrużył oczy, chroniąc je przed światłem, oddychał ostrożnie, jak gdyby bojąc się świeżego powietrza wiejącego ze wschodu. Patrzył na zachód, wypatrując łun pożarów. Berlin jeszcze nie płonął, Bruksela nie płonęła, Paryż nie płonął. Ale zapłoną. Neroni już gromadzili podpałkę.

Na razie kłamali.

On kłamał: „W roku 2009 nastąpiło skoncentrowanie kadry oficerskiej, w której istotną rolę odgrywali oficerowie mający za sobą służbę w tajnych formacjach okresu komunistycznego".

Spoglądał na prezesa, który kiwał głową przyzwalająco.

„W roku 2007 Donald Tusk otworzył możliwość rosyjskiego ataku".

Błaszczak uśmiechał się życzliwie.

A on nadal kłamał: „Donald Trump od pół roku proponuje Polsce następne 10 tysięcy amerykańskich żołnierzy. Donald Tusk milczy, Kosiniak-Kamysz milczy. Milczą na temat fundamentalny dla polskiego bezpieczeństwa. Oni w istocie dążą do sytuacji alternatywnej".

W głowie słyszał głosy, które mówiły wierszem:

Do broni, Antoni
Rozum cię goni
Lecz nie dogoni
Prezes cię chroni.

Niedługo wróci do szafy. Zamknie oczy, zażyje podwójną dawkę valium, odetchnie mgłą smoleńską. I będzie czekał, aż prezes znów zapuka w drzwi.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

eprasa.pl 6e87ff87ec

Olimpiada nie dla Ruskich?

Różne oblicza bojkotu

ETYKA BEZBOŻNA



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Są tacy ludzie, których niecnota uczyniła tak sławnymi, że udzielają swych nazwisk przedmiotom i zjawiskom. Mało kto może choćby marzyć o tak wiekopomnej pamięci jak pan Guillotin, propagator gilotyny, markiz de Sade, propagator przemocowego seksu, i pan Boycott, który jako nazbyt chciwy dzierżawca doczekał się… społecznego bojkotu.

Zaiste, od końca XIX w. bojkot stał się potężnym narzędziem walki politycznej. Zarówno tej oddolnej, prowadzonej przez społeczeństwo z autorytarną władzą, jak i odgórnej, obliczonej na przekierowywanie frustracji społecznej z władzy na jakąś grupę społeczną. Bywały więc bojkoty moralnie szlachetne, jak na przykład bojkot TVP prowadzony przez polskich artystów w czasach stanu wojennego, a ostatnio w czasach kurwizji, lecz również bojkoty podłe, powiązane z przemocą, a nawet prowadzące do zbrodni. Za sanacji bojkot żydowskiego handlu był hasłem nie tylko ekstremistycznych partyjek, lecz samej władzy („Bojkot? Owszem” – to słowa premiera Sławoja Składkowskiego), a za hasłem szło nie tylko omijanie żydowskich sklepów, lecz również wybijanie w nich szyb i bicie właścicieli.

Różne więc są te bojkoty. A jak ocenić ten dziś najsławniejszy i najbardziej kontrowersyjny, czyli bojkot olimpijski polegający na wykluczeniu reprezentacji Rosji i Białorusi przez Międzynarodowy Komitet Olimpijski? Narodowe komitety olimpijskie tych dwóch krajów czasowo odsunięto od udziału w igrzyskach, co oznacza, że sportowcy z tych krajów nie mogą startować pod swoimi flagami. Pewnie się to zmieni, lecz kwestia pozostaje.

Z etycznego punktu widzenia jest to zjawisko bardzo interesujące i bardzo kontrowersyjne. Bo co ci sportowcy winni? Czy to oni odpowiadają za Putina? Czy muszą ponosić za jego działania odpowiedzialność? Może tak, może nie. Generalnie krwawe reżimy doświadczają ostracyzmu i sankcji uderzających również w niewinnych obywateli. Nie chodzi przy tym o stosowanie odpowiedzialności zbiorowej, lecz o wybór: albo taki reżim jest bezkarny, albo w jakimś stopniu odczuje skutki swoich zbrodni, a nawet zostanie dzięki nim w pewnym stopniu osłabiony. Bojkot może być dość skutecznym narzędziem obniżania morale reżimu i podnoszenia na duchu opozycji. Dlatego sądzę, że warunkiem podjęcia drastycznej decyzji o wykluczeniu jakiegoś państwa (nie sportowców) z igrzysk, jest aprobata opozycji dla takiego kroku. Tyle że akurat w odniesieniu do Rosji i Białorusi to jedynie w przypadku tego drugiego kraju można mówić o jakiejś zorganizowanej opozycji, która do pewnego stopnia może przemawiać w imieniu narodu. A i odnośnie do Białorusi można mieć poważne wątpliwości, czy większość społeczeństwa bojkot popiera.

Jeśli zaś nie popiera, to tym samym bojkot staje się w jakimś stopniu karą zbiorową sięgającą społeczeństwa. Czy uprawnioną? Sądzę, że nie. Jednak trzeba odróżniać państwo jako takie, a tym bardziej naród, od jego rządu. Rosja ma swoją dumę i swoją wartość jako naród i państwo, pomimo faktu, że na ogół (a już zwłaszcza teraz) rządzona jest przez krwawy reżim. Na reżimie jednak nie kończy się ani państwo, ani tym bardziej naród. A flaga i inne symbole państwowe też nie są własnością rządu. Flaga Rosji to nie flaga Kremla i Putina, nawet jeśli sam Putin tak myśli. Dłużej klasztora, niźli przeora! Poza tym jeśli bojkot ma być gestem etycznym, to od jego sprawców, czyli międzynarodowych władz olimpijskich, należałoby oczekiwać zestawu cnót, jaki przystoi moralnym liderom dającym przykład i nauki społecznym masom. A wśród tych cnót są również odwaga i konsekwencja. Tymczasem na świecie jest wiele paskudnych reżimów. Kto i wedle jakich kryteriów ma decydować o stosowaniu wobec nich olimpijskiego bojkotu? A czy jakiekolwiek zasady w tym względzie mogłyby kiedykolwiek zostać zastosowane, dajmy na to, do Chin? No nie. Więc może lepiej nie stawiać się w roli moralnego autorytetu? Tym bardziej że

każdy bojkot jest precedensem, aby domagać się innych dla innych krajów, albo prowadzić gorszące targi: zgodzimy się na bojkot Rosji, jeśli poprzecie bojkot...

Na tym jednak nie koniec. Trzeba wziąć pod uwagę również sam sens moralny ruchu olimpijskiego i jego ideały. A sens jest taki, żeby ścigać się, zamiast ze sobą wojować. Rywalizacja sportowa jest jakimś substytutem potyczki wojennej i jako taka sprzyja pokojowi. I faktycznie, do jakiegoś stopnia to działa. A nie bez znaczenia jest też fakt, że sportowcy nieprzyjaznych nam krajów w czasie trwania tzw. olimpijskich zmagań pokazują jakąś lepszą twarz swojego kraju, przyczyniając się do tego, że wrogość między narodami słabnie. I to chyba raczej dobrze niż źle.

Owszem, to jest rzecz paskudna, gdy jakiś dyktator wykorzystuje igrzyska olimpijskie dla własnych celów propagandowych, na przykład przedstawiając sukcesy sportowców jako sukcesy reżimu albo wymuszając na sportowcach gesty lojalności. Jednakże czy bojkot, który temu może zapobiec, nie przynosi więcej szkody? Sądzę, że warto spojrzeć na ruch olimpijski jako swego rodzaju przedłużenie dyplomacji. Bo sensem dyplomacji również jest utrzymanie pokoju, a cała jej istota zawiera się w tym, że rozmawia się z każdym. Nawet z Hitlerem, nawet z Putinem. Sądzę, że dla nas wszystkich byłoby lepiej, gdyby piękna idea bojkotu była trzymana z dala od dyplomacji, również tej sportowej.

JAN HARTMAN

Zamożne państwo ubogich ludzi

Młodzi, bezrobotni, biedni

SŁOWO CZERWONE



Eksperci od ekonomii twierdzą, że zdecydowanie wyższe bezrobocie wśród osób młodych (12,5 proc.) wynika ze zbyt szybkiego podnoszenia płacy minimalnej. Przeciętne bezrobocie w Polsce wciąż jest jednym z najniższych w UE (3,1 proc.). To twierdzenie jest o tyle dziwne, że płaca minimalna w tym roku wzrosła o zaledwie 140 zł brutto, tj. o 120 zł na rękę.

Eksperci, którzy zwykle mają skłonność do liberalizmu, uważają, że coraz więcej przedsiębiorców skarży się, że nie stać ich na płacenie pracownikom płacy minimalnej. Rośnie więc szara strefa. Na przykład zatrudnianie na fikcyjne cząstki etatu, podczas gdy pracuje się w pełnym wymiarze czasowym. Zatrudnia się na śmieciówkach, przy czym między bajki należy włożyć twierdzenie, że taka forma zatrudnienia jest na życzenie pracownika. Przeważnie zgoda na brak umowy o pracę jest warunkiem zatrudnienia. A ustawa o wyposażeniu inspektorów pracy w prawo do ustalania istnienia stosunku pracy w miejsce fikcyjnej umowy cywilnoprawnej czy fikcyjnego samozatrudnienia została na życzenie szemranego biznesu tak zmodyfikowana, że decyzja inspektora może wejść w życie dopiero po długotrwałej procedurze odwoławczej. Nie ma więc pewności, czy coś da.

W dużym mieście za płacę minimalną trudno wyżyć rodzinie z dwójką dzieci, gdyż koszty mieszkania to często ponad połowa pensji. A gdyby rodzina musiała wynajmować na wolnym rynku, płaca minimalna ledwie by na to wystarczyła. Spróbujcie w Warszawie czy Krakowie wynająć mieszkanie za 3600 zł.

Eksperci piszą, że młodzi są roszczeniowi. A przecież koszty utrzymania osób w wieku 25–34 lata są o wiele wyższe niż starszych, którzy zdążyli już się jako tako dorobić. Wyższe bezrobocie wśród młodych to jedna z przyczyn niższej dzietności. Dotyczy to nie tylko bezrobotnych, ale i wielkiej rzeszy młodych ludzi, którzy godzą się na zatrudnienie sprzeczne z prawem, z uposażeniem niższym niż płaca minimalna. 800 plus zdążyło się już zdewaluować. Ceny kosztów żywności i energii rosną o wiele szybciej, niż wskazywałby wskaźnik inflacji. To są rachuby jak za PRL: wprawdzie rosną ceny masła, ale za to tanieją lokomotywy.

Najważniejszym wciąż problemem młodych jest brak tanich mieszkań pod wynajem. Żeby się wyprowadzić od rodziców i założyć rodzinę, trzeba wziąć kredyt mieszkaniowy. Jednak większości młodych par banki takiego kredytu nie udzielą, bo uznają ich za zbyt biednych. Pozostaje więc zwrócić się do gminy po pomoc mieszkaniową w postaci wynajęcia mieszkania komunalnego. Wtedy jednak okazuje się, że ci sami ludzie, których banki uznały za zbyt biednych okazują się zbyt bogaci, żeby ich wpisać do kolejki mieszkaniowej. Kryteria dochodowe, od których samorząd uzależnia udzielenie pomocy mieszkaniowej, są tak absurdalnie niskie, bo samorządy nie budują mieszkań. Publicznych pieniędzy przeznaczonych na ten cel jest w budżecie żałośnie mało.

Słowem pozostaje wynajem mieszkania na wolnym rynku. Tyle że aby je wynająć, trzeba wydać co najmniej jedna pensję minimalną. Muszą więc oboje pracować, a to oznacza, że nie ma mowy o posiadaniu dzieci. Bo jedna pensja idzie na wynajem mieszkania, a druga na życie. I to – dodajmy – życie bardzo skromne.

Zapytałem AI (sztuczną inteligencję) o to, jaka część młodzieży zarabia pensję minimalną. Jakież było moje zdziwienie, kiedy przeczytałem, że według AI trudno to ustalić z powodu „popularności” umów zleceń. Okazało się przy okazji, że AI jest zakutym liberałem, skoro twierdzi, że młodzi chcą śmieciówek, bo są one wśród nich „popularne”. Wiadomo jednak z internetu, że liczba osób pracujących za płacę minimalną lub odrobinę wyższą rośnie i że już teraz przekracza 3 mln. Oczywiście udział młodych w niskich płacach jest wyższy od przeciętnej. Nikt też jakoś nie jest w stanie zbadać, jaka część młodych jest zmuszona podjąć pracę za mniej niż płaca minimalna na podstawie różnych „niestandardowych form zatrudnienia”. Nie mówiąc choćby o młodych podejmujących na prowincji pracę na czarno. Ostatnie dostępne dane pochodzą z 2022 r. i wynika z nich, że w szarej strefie pracuje 2 proc. całej populacji. Wśród młodych ten odsetek jest z pewnością wyższy, a sam wskaźnik wydaje się zaniżony.

W 20. gospodarce świata nie ma dość pieniędzy w rękach młodych, żeby rodziły się dzieci.

Polska nigdy nie była tak bogata jak teraz, ale nie jest dość bogata, żeby zaspokoić potrzeby mieszkaniowe młodego pokolenia.

Tak u zwierząt, jak u ludzi prokreacji służy poczucie bezpieczeństwa. W kraju, gdzie zdecydowana większość ludzi żyje na styk od pierwszego do pierwszego i nie jest w stanie odłożyć dość pieniędzy, by poczuć się bezpiecznie, decyzja o zrobieniu sobie dziecka jest trudna. Poczuciu bezpieczeństwa sprzyjałoby, gdybyśmy byli państwem socjalnym. Ale nie jesteśmy.

Jak to jest możliwe, że mimo ciągłego przyzwoitego wzrostu dochodu narodowego nie rośnie poczucie bezpieczeństwa? Bo ten rosnący dochód narodowy jest nierówno i niesprawiedliwie podzielony. Kraj jest wprawdzie bogaty, ale ludzie wciąż biedni.

PIOTR IKONOWICZ

WIEŚCI GMINNE i INNE

W Krakowie 39-latka zaatakowano maczetą. Sprawcy? 13-latek, 14-latek i 19-latek. Powody nieznane. Ofiara w szpitalu, sprawcy na wolności. Ataki maczetą stają się krakowską tradycją, więc trzeba na to patrzeć z wyrozumiałością. Sami pisaliśmy o siedmiu takich przypadkach. No cóż, widać Kraków próbuje dogonić Brazylię. Tylko zamiast samby mamy maczety.

Przed Sądem Okręgowym w Katowicach trwa proces, w którym Robert Janczewski – prawomocnie uniewinniony w sprawie zabójstwa 23-letniej studentki z Krakowa, Katarzyny Z. – domaga się od skarbu państwa ponad 22,5 mln zł. Cena za siedem lat „tymczasowego” aresztu została więc już ustalona. Katarzyna Z. zaginęła jesienią 1998 r. W Wiśle odnaleziono fragmenty jej szczątków. Po 19 latach śledczy dokonali odkrycia epokowego: akta można czytać jeszcze raz. Z tej lektury wyłoniło się oskarżenie oparte na poszlakach, które – jak się okazało – w zależności od instancji potrafią być albo szczelnym łańcuchem, albo zbiorem wątpliwości. W 2022 r. Sąd Okręgowy w Krakowie uznał, że łańcuch jest zamknięty i wystarczająco mocny, by skazać Janczewskiego na dożywocie. Dwa lata później Sąd Apelacyjny uznał, że łańcuch jednak ma ogniwa ruchome. Procesy toczyły się przy drzwiach zamkniętych – dla dobra sprawy i wrażliwości opinii publicznej. Zatem dziś już wiemy tylko tyle, że w polskim wymiarze sprawiedliwości ten sam zestaw poszlak potrafi prowadzić zarówno do dożywocia, jak i do pełnego oczysz-

eprasa.pl 6e87ff87ec

W Polsce wynikiem równania na seks jest święte oburzenie

Schizofrenia kopulacyjna

Najpierw w internecie pojawił się materiał z tytułem: „Prostytutki z Krupówek, gorąca zabawa w Zakopanem – polskie górskie porno”. A potem nastąpiło to, co zwykle następuje, gdy ktoś podkręci emocje w sieci: chaos interpretacyjny, oburzenie, spekulacje, oskarżenia i niemal kompletna dezorientacja służb.

Bo na pierwszy rzut oka sprawa wygląda groteskowo. Nocą, kiedy na Krupówkach nie ma turystów i spacerujących rodzin, nagrano materiał dla dorosłych i opublikowano go na portalu z treściami erotycznymi. Na nagraniu widać charakterystyczne oczko wodne, a w tle pustkę i goliznę.

Ohyda!

Zaczęło się, gdy do redakcji lokalnego portalu odezwała się pani, podkreślając, że „Krupówki to miejsce symboliczne, rodzinne i turystyczne… nagrano tam film pornograficzny przeznaczony dla dorosłych. Zakopane od lat walczy o wizerunek, a takie sytuacje robią z Krupówek plan zdjęciowy bez zasad. Dla mnie jest to obrzydliwe i bardzo kontrowersyjne. Internet już huczy, ale bez nagłośnienia przez media temat umrze szybciej, niż powinien”.

Według mediów samo nagranie pochodzi sprzed miesięcy – powstało najpewniej jesienią, kiedy na deptaku było pusto. Archiwalna pogoda i widoczne na ujęciach liście na drzewach to dowód, że do zdarzenia doszło w innej porze roku niż ta, w której wszyscy komentują sprawę.

Nie ma dowodu na to, że ktoś z przechodniów był obecny. Nie ma zgłoszeń od turystów, którzy mieliby widzieć filmowanie, ani nawet jednego telefonu na policję. Monitoring miejski podobno nie zarejestrował niczego podejrzanego. Policja powtarza, że nie otrzymała żadnego zgłoszenia o nieobyczajnym zachowaniu w rejonie Krupówek.

Odpowiedź burmistrza Zakopanego była lapidarna i typowa: „Potępiam takie zachowanie, nie powinno ono mieć miejsca. Filmu nie oglądałem”. Potępia, choć nie widział materiału. Policja czeka na zgłoszenie, chociaż temat wrze w społeczności internetowej. Monitoringu nie przejrzał nikt, zakopiańska straż miejska się nie wypowiadała, bo nie było zgłoszenia.

I tu zaczyna się prawdziwa dyskusja – o tym,

co tak naprawdę ludzi bulwersuje? Czy to nagranie, czy jego obecność w publicznej przestrzeni? A może to, że seks w Polsce nadal jest tematem tabu, który prowokuje skrajne reakcje, nawet tam, gdzie obiektywnie nic się nie wydarzyło? Czy oburzenie bierze się z głupoty, czy z zakompleksienia?

A może stąd, że zostało obrażone Zakopane? Odpowiedzi nie ma. Ale jedno jest pewne: to, co zaczęło się jako anonimowe nagranie w internecie, stało się lustrem, w którym zobaczyliśmy własne lęki, uprzedzenia, hipokryzję i ignorancję dotyczącą seksualności.

Algorytm na orgazm

I to jest dużo ciekawsze niż samo nagranie z Krupówek. Bo kiedyś mówiło się o seksie szeptem. Potem krzykiem. Dziś mówi się o nim albo językiem oburzenia, albo według tabelki. Naukowcy, terapeuci, influencerzy i wydziały psychologii na renomowanych uczelniach biorą się za seksualność tak, jak gdyby chodziło o skład makaronu: zbalansowana proporcja, optymalna częstość, dozwolona liczba dodatków.

Badacze z Niemiec przepytali ponad 340 osób, by ustalić społecznie akceptowalny model życia intymnego. Wyniki? Dla mężczyzn najbardziej akceptowalna liczba partnerów to czterech lub pięciu, z czego dwa lub trzy kontakty mają mieć charakter przelotny. Wiek inicjacji seksualnej – optymalnie między 18. a 20. rokiem życia. Kobietom przypisano mniejszy zakres tolerancji – dwóch lub trzech partnerów w życiu z jednym lub dwoma przelotnymi epizodami. Idealny wiek pierwszych doświadczeń? Między 16. a 18. rokiem życia.

Częstotliwość współżycia? Mężczyzna – cztery do pięciu razy w tygodniu, kobieta – trzy do czterech. Praktyki autoerotyczne? On – trzy do czterech razy tygodniowo, ona – dwa do trzech. Fantazje erotyczne? Mężczyzna – maksymalnie trzy dziennie, kobieta – dwie. Bo w społecznej akceptacji wszystko ma swoje miejsce i limit. Nawet wyobraźnia.

Ale od kiedy to o seksualności decyduje komitet sterujący? Gdzieś po drodze między „róbta co chceta” a „czekajta, mamy algorytm” świat uznał, że trzeba nam czegoś pomiędzy. Seksualność – ten najbardziej osobisty aspekt życia – poddano wiwisekcji społecznej i laboratoryjnej, a potem skrupulatnie opisano w Excelu.

Eksperci z portali medycznych zapewniają, że umiarkowanie to zdrowie. Seks trzy razy w tygodniu poprawia krążenie, zmniejsza stres, zwiększa odporność, obniża ciśnienie. Regularne orgazmy to naturalny antydepresant. Ba, są nawet chińskie normy sprzed wieków, według których 20-latek powinien szczytować raz na cztery dni, 30-latek – raz na osiem, 40-latek – raz na szesnaście, a 60-latek – raz na trzydzieści.

Widać, że to próba uformowania nowego ideału – seksualności kontrolowanej, akceptowalnej, estetycznej. Seksu, który nie sprawia kłopotu, nie prowokuje, nie wychodzi poza ramy normy. Seksu, który ma być miły, zdrowy i „od linijki”. I to właśnie budzi największy niepokój. Bo jeśli nawet w sferze tak intymnej jak seks zaczynamy ustalać średnią statystyczną, to może nie chodzi o wolność, tylko o tresurę?

Z badań wynika, że mężczyźni mają czuć presję wyników, a kobiety – presję wstrzemięźliwości. Że trzy razy w tygodniu to w sam raz, ale pięć to już podejrzane. Że masturbacja jest okej, ale nie za często. Że marzyć można, ale nie za długo. Że seks ma być – tak jak pokazują influencerki – spontaniczny, zdrowy i higieniczny. Niekoniecznie namiętny. Już raczej zaplanowany.



Rys. MARCIN CHUDZIK

Szczytuj, jak chcesz

Zamiast zrozumienia, dostajemy podręcznik obsługi własnej seksualności z tabelą, punktem odniesienia i wykresem na rozkładówce. A wszystko to – jak zwykle – w trosce o zdrowie publiczne. Bo przecież naukowiec już nie powie, że seks to grzech, ale że seks to optymalizacja samopoczucia somatycznego poprzez zbalansowaną stymulację dopaminową w modelu relacyjnym lub indywidualnym.

Ale gdy jedni wpisują seks w arkusz kalkulacyjny, inni pytają: po co? Dr Justin R. Garcia w książce „The Intimate Animal” rozbija najczęstsze mity na temat miłości i seksu.

Mit pierwszy – monogamia. Autor tłumaczy, że są jej dwa rodzaje: społeczna i seksualna. Ta pierwsza – oparta na lojalności, wspólnocie, bezpieczeństwie – ma sens ewolucyjny. Ta druga – wymagająca wyłączności cielesnej – już niekoniecznie. Tylko 3 proc. ssaków i 15 proc. naczelnych tworzy trwałe pary. A tylko człowiek buduje z tego instytucję.

Mit drugi – tylko mężczyźni chcą różnorodności. Otóż nie. Kobiety również. Badania pokazują, że pragnienie odmiany nie zna płci. Różnice w zdradach się zacierają. A nowe technologie i media społecznościowe tylko pomagają to pragnienie realizować.

Mit trzeci – zdradzają tylko źli ludzie. Tyle że skok w bok to zjawisko powszechne – szacunkowo od 14 do 80 proc. populacji przyznaje się do niego w którymś momencie życia. To nie statystyka patologii. To statystyka człowieczeństwa.

Mit czwarty – monogamia jest nienaturalna. Tymczasem ewolucja promuje jednocześnie potrzebę stabilności i poszukiwania nowości.

Mit piąty – gen zdrady. Bo są geny, które zwiększają skłonność do poszukiwania doznań. Ale nie determinują one naszych wyborów. Mamy płat czołowy. Mamy świadomość. I decyzję.

Tyle tabelki i teoria. A praktyka? Krupówki. Noc. Pusta ulica. Kamera. Dwoje ludzi nagrywających film pornograficzny. Internet huczy, Zakopane drży. Mieszkańcy, którzy nic nie widzieli, nic nie słyszeli, czują się skrzywdzeni. Seks, którego nie doświadczyli, złamał ich mentalnie. I to jest prawdziwy obraz naszej seksualnej schizofrenii.

TOMASZ BOROWIECKI

---

czenia z zarzutów. To źle świadczy tak o policji i o prokuraturze oraz sądownictwie.

▮ 23-letni Kamil Grygieniec zginął w North Stainley (Wielka Brytania), przygnieciony przez samojezdną kosiarkę, która stoczyła się z brzegu stawu. Śledztwo wykazało, że pracodawca nie ocenił ryzyka. Firma MHS Countryside Management Limited ma zapłacić 27 tys. funtów grzywny (czyli jakieś 131 tys. zł – żeby polski czytelnik wiedział, o jakiej kwocie mówimy) i pokryć koszty postępowania (ponad 11 tys. funtów, czyli kolejne 53 tys. w naszej walucie). Kwoty nie wydają się wygórowane. No cóż, są ludzie, którzy potrafią spierdolić dosłownie wszystko (Polacy w tym przodują). Zatem życie odebrane przez kosiarkę nie może być wiele warte.

▮ W Warszawie Rafał Trzaskowski postanowił nie pozostawiać swojego losu wyborczego przypadkowi i z zapałem pracuje nad kolejną lekcją demokracji. Dwie poprzednie najwyraźniej uznał za niedostatecznie pouczające. Wjazd do strefy czystego transportu w Warszawie kontroluje już system kilkudziesięciu nowych kamer, które z chirurgiczną precyzją odczytują tablice rejestracyjne. Każdy przejazd trafia do cyfrowej pamięci miasta, a straż miejska tylko czeka, aż testy się skończą i będzie można przejść od teorii do praktyki mandatowej. Dobrze, że prezydent nie dojeżdża do pracy kosiarką spalinową. W obecnych realiach mogłoby się to skończyć szybciej niż kampania wyborcza (patrz poprzednia wiadomość).

▮ Niemieckie służby zatrzymały 73-letniego Polaka, który przez 12 lat miał włamać się do 50 domów w kilku landach. Przełom nastąpił po listopadowym włamaniu, po którym znaleziono jego DNA i odciski palców. Gość rzekomo przyjeżdżał z Polski do Niemiec i okradał domy zimą. Zimą? Kiedy wszyscy siedzą w domach? 73 lata, 50 włamań? Zaczął kraść po sześćdziesiątce? I co on tam kradł? Telewizory za tysiąc złotych, futra, których nikt nie kupuje, obrączki ślubne? Tym Niemcom już chyba całkiem odbiło.

▮ Bank Pekao wypracował w 2025 r. historyczny zysk ponad 7 mld zł. Wzrost o 10 proc. rok do roku. Wynik – jak by to ująć – olimpijski. Złoto, hymn i konfetti z banknotów. Prezes Cezary Stypułkowski mógłby powiedzieć, że to efekt rosnących kompetencji, empatii wobec klientów, etyki i rzetelności, a także głębokiego namysłu nad dobrem wspólnym. Mógłby. Ale nie powiedział. I słusznie, bo aż tak daleko nawet bankowa hipokryzja nie sięga. Sprawa wygląda prościej: kredyty oprocentowane jak alpejskie szczyty, a lokaty w okolicach zera. Biednienie społeczeństwa równa się wzrostowi zysków i aktywów Pekao.

▮ W Warszawie padł nowy rekord cenowy. Penthouse w Kamienicy Ordynackiej sprzedany za 21 mln zł. Prawie 90 tys. za metr kwadratowy! Apartament z tarasem na dachu i widokiem na Warszawę i Wisłę znajduje się w odrestaurowanym budynku z 1912 r. Kiedyś za taką kwotę kupowało się wieś z kmieciami. Dziś tylko widok na rzekę. Inflacja, panie, inflacja.

▮ W Zakopanem hotele pełne jak góralska chałupa w święta – obłożenie 85 proc. Parking w centrum kosztuje tyle, co miesięczny czynsz w Warszawie 3 tys. zł czyli stówę za dobę. A w hotelach? Opłata za łóżeczko dziecięce, za psa, za brak psa, za oddychanie... Góralska kreatywność w zdzieraniu kasy przewyższa Rysy.

▮ Zima. Martwy sezon. Pole śpi, ziemia zamarznięta, więc rolnicy z Dolnego Śląska postanowili sprawdzić, czy asfalt w centrum Wrocławia ugniata się pod kołami ciągników. Do miasta wjechało 50 maszyn rolniczych, a wraz z nimi kilkaset osób gotowych bronić polskiej wsi przed Zielonym Ładem, klimatem i ogólnie Brukselą. Traktory ustawiły się przed Dolnośląskim Urzędem Wojewódzkim. Hasła były konkretne: za dużo regulacji, za drogo, za trudno konkurować z importem spoza UE. Wyjaśniamy z troski edukacyjnej wobec tych, którzy „żywią i bronią”, że Dolnośląski Urząd Wojewódzki nie jest autorem unijnej polityki rolnej ani Zielonego Ładu. Nie pisze dyrektyw w Brukseli i nie ma kompetencji do ich zmiany.



Rys. JANUARY

▮ Niemcy przedłużą kontrole na granicach o kolejne sześć miesięcy. Do połowy września. Decyzję ogłosił minister spraw wewnętrznych Alexander Dobrindt. Oznacza to, że wyrywkowe kontrole podróżnych, w tym na granicy z Polską, będą kontynuowane.

▮ Bal karnawałowo-walentynkowy w sali Ochotniczej Straży Pożarnej w Żywocinie w gminie Wolbórz, firmowany przez radę rodziców Szkoły Podstawowej im. św. Jana Pawła II w Komornikach, wzburzył najbardziej tych, którzy nie zdążyli kupić biletów. 230 zł od głowy, około 140 osób na sali – czyli budżet edukacyjny większy niż niejedna klasowa składka na kredki. Kontrowersję wywołał nie barszcz, tylko taniec. Konkretnie: panowie z lokalnego go-go, którzy zaprezentowali stroje Adamowe w pełnym rozkwicie. Burmistrz Wolborza Andrzej Jaros nazwał zaproszenie tancerzy „fatalnym błędem” i zapowiedział wyjaśnienia.

▮ Ministerstwo Cyfryzacji poinformowało, że w 2025 r. w Polsce urodziło się 238 tys. dzieci posiadających obywatelstwo polskie. W tej samej statystyce pojawia się także 205 noworodków z obywatelstwem indyjskim. Mhm. Na razie demograficznie mamy przewagę – w końcu Polska liczy niespełna 38 mln mieszkańców. Problem polega na tym, że w Indiach mieszka około 1,48 mld ludzi. To mniej więcej tyle, ile w Polsce, tylko razy 40. Zatem owszem, na naszym podwórku bilans wygląda spokojnie. W skali globalnej proporcje są jednak – powiedzmy – mało wyrównane.

▮ W Małopolsce żyje 418 osób, które skończyły 100 lat i pobierają „świadczenie honorowe”. To wzrost o 57 proc. od 2019 r. Większość to baby – 356, a facetów tylko 62. Najstarszy ma 106 lat. Są jednak granice, których nikomu nie można przekraczać – przeczytalibyśmy na witrynie ZUS, gdyby to była szczera instytucja. Ale ZUS szczery nie jest, więc tego nie przeczytamy.

▮ W zoo w Chorzowie wykluły się trzy młode czerwonaki różowe, czyli przyszłe flamingi. Na razie jednak trudno w to uwierzyć: pisklęta są szare, nieforemne i przypominają raczej wygłodzone sępy po ciężkim tygodniu niż eleganckie symbole z egzotycznej pocztówki. Aby stać się różowymi ptakami o długich nogach, smukłej szyi i zakrzywionym dziobie, pisklęta potrzebują jeszcze dwóch lat. Flamingi karmią młode „ptasim mleczkiem”, a w opiece uczestniczą zarówno samce, jak i samice – tak donoszą światowe agencje prasowe, najwyraźniej uznając, iż chorzowskie wykluciе zmienia geopolityczny układ sił.

RJ

PS Z uwagi na fakt, iż przywoływane treści zostały zaczerpnięte z przekazów medialnych o charakterze lokalnym, a nie z dokumentacji urzędowej ani prawomocnych rozstrzygnięć właściwych organów, należy podkreślić, że ich wiarygodność nie została przez nas w żaden sposób zweryfikowana. W związku z powyższym informacje nie powinny być traktowane jako ustalenia faktyczne w rozumieniu procesowym ani jako materiał stanowiący podstawę do formułowania kategorycznych wniosków prawnych.

eprasa.pl 6e87ff87ec

Europejski Charlie Kirk

Prawica Starego Kontynentu zyskała męczennika



Rys. OBYWATEL JANEK

Środowiska prawicowe postanowiły tę śmierć wykorzystać. We Francji skrajnie konserwatywne organizacje wezwały do „świętej unii" ultraprawaków wokół figury Deranque jako „męczennika politycznego".

Francją wstrząsnęła śmierć Quentina Deranque, 23-letniego studenta matematyki, który został śmiertelnie pobity w Lyonie. „Młody student stanął w obronie grupy kobiet manifestujących przeciw aktom imigranckiej przemocy – i w ten sposób sam stał się celem tchórzliwego ataku kilkuosobowej grupy lewicowych zbrodniarzy" – napisał na X Krzysztof Bosak. Wicemarszałek sejmu okoliczności zgonu młodego Francuza nazwał morderstwem. „Trzeba odnotować, że Polska również nie jest wolna od problemu lewicowej przemocy politycznej" – podkreślił Bosak. Podobnych szpagatów trudno szukać nawet na olimpiadzie.

La mort

12 lutego siedem działaczek feministycznego skrajnie prawicowego kolektywu Némésis pojawiło się przed budynkiem Instytutu Nauk Politycznych w Lyonie, żeby protestować przeciwko zaproszeniu na spotkanie ze studentami Rimy Hassan, europosłanki lewicowej partii Francja Niepokorna. Dyskusja miała dotyczyć relacji UE z rządami europejskimi w kontekście konfliktu na Bliskim Wschodzie, w szczególności sytuacji w Gazie, prawa wojennego oraz polityki wobec Izraela. Kolektyw Némésis, który ochoczo łączy feminizm z antyislamskim i antyimigranckim przekazem, przedstawia Rimę Hassan jako apologetkę terroryzmu i islamskiego zagrożenia dla Francji i europejskich kobiet. W ramach protestu członkinie ugrupowania rozwinęły przed budynkiem transparent z napisem: „Precz z islamolewicowcami z uniwersytetów". Jak wynika z relacji prawicowych feministek, Deranque był częścią zespołu ochrony odpowiedzialnego za zapewnienie bezpieczeństwa demonstrantom zakłócającym konferencję prowadzoną przez Hassan. Chwilę po rozpoczęciu happeningu na miejscu zjawili się antyfaszystowscy kontrmanifestanci. Podczas próby zniszczenia banneru Némésis doszło do szarpaniny, która przerodziła się w regularną bitwę. Starcia przeniosły się na pobliskie ulice kampusu. Obie grupy liczące po blisko 30 osób częstowały się wzajemnym wpierdolem przy użyciu pięści, kopniaków, pałek teleskopowych i butelek. Na jednym z amatorskich nagrań, którymi dysponuje prokuratura, widać, jak grupa sześciu zamaskowanych napastników glanuje leżącego na chodniku mężczyznę. Ofiarą jest Quentin Deranque, który umiera w nocy z 14 na 15 lutego w szpitalu w wyniku urazu czaszkowo-mózgowego. W związku z pobiciem aresztowano 11 osób powiązanych z lewicową grupą Młoda Gwardia.

Georgia Meloni opisała pobicie Francuza jako „ranę dla całej Europy". Ambasada USA w Paryżu przekazała wiadomość od Biura Antyterrorystycznego Departamentu Stanu, w której stwierdzono, że „gwałtowny lewicowy ekstremizm rośnie, a jego rola w śmierci Quentina Deranque pokazuje zagrożenie, jakie stanowi dla bezpieczeństwa publicznego".

Śmierć każdego człowieka w wyniku zamieszek o podłożu politycznym to zawsze tragedia. Jednak aby oddać sprawiedliwość, w Lyonie doszło raczej do starcia między dwiema bojówkami niż egzekucji pokojowego demonstranta, jak przedstawia to europejska prawica. Nie umniejszając tragedii, trudno nie odnieść wrażenia, że prawej stronie chodzi o huk, a nie o zająca.

Croisade

Deranque należał do antysemickiej i tradycjonalistycznej organizacji Academia Christiana, monarchistycznej Akcji Francuskiej i neofaszystowskiej grupy Allobroges Bourgoin, powiązanej z nacjonalistycznymi bojówkami. Nie uzasadnia to w żaden sposób zadania śmiertelnych ciosów, ale nieco podważa narrację o morderstwie przypadkowej ofiary. Nie przymierzając, to trochę tak, jak gdyby po ustawce dwóch grup kibolskich jedną z jej ofiar przedstawić jako grzybiarza, który niczego nieświadom wybrał się na maślaki w miejsce bójki.

Ultranacjonalistyczna i separatystyczna flamandzka grupa Voorpost ogłosiła marsz w Brukseli na cześć młodego Francuza, przedstawiając go jako ofiarę „lewicowego terroryzmu". Marsz odwołano po zapowiedziach kontrmanifestacji, ale Voorpost wykorzystało to do mobilizacji online sympatyków, łącząc śmierć Deranque z antyimigranckimi hasłami i oskarżeniami wobec belgijskiej antify. Krzysztof Bosak powiązał śmierć studenta z partią Razem Adriana Zandberga. W jaki sposób? Rima Hassan to europoseł lewicowej partii Francja Niepokorna (LFI), której inny poseł Raphaël Arnault jest założycielem „bandyckich struktur" Młodej Gwardii. LFI zaś należy do European Left Alliance for the People and the Planet (ELA), której członkiem jest partia Razem. Idąc tokiem myślenia wicemarszałka Bosaka, Jarosław Kaczyński jest winny depopulacji chomika europejskiego, bo posiada kota.

W social mediach jak na komendę pojawił się nowy trend. Niczym grzyby po deszczu zaczęły wyrastać teorie spiskowe na temat powiązań lewicowych środowisk w Polsce z niekoniecznie szlachetnymi zamiarami. Jako że nie było się za bardzo do czego przykleić, Stanisław Żaryn ogłosił na X, że „Polska została wciągnięta w orbitę bardzo poważnych działań wywrotowych". Wszystko za sprawą Strajku Kobiet, który miał

Hamburgery kontra turbany

Iran to nie Wenezuela



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Stany Zjednoczone i Iran wznowiły na początku lutego rozmowy na temat potencjalnego porozumienia nuklearnego. To pierwsze negocjacje od czasu czerwcowego uderzenia USA na irańskie instalacje jądrowe i wojny izraelsko-irańskiej. Różnice oczekiwań między Waszyngtonem i Teheranem wydają się nie do zasypania. Administracja Trumpa domaga się, by ewentualne porozumienie objęło nie tylko program atomowy Iranu, ale też program rakiet balistycznych i kontrolowanych przez Iran bojówek na Bliskim Wschodzie. Teheran natomiast zgadza się tylko na ograniczenia nuklearne. Na tę okoliczność Stany Zjednoczone zgromadziły wokół Iranu jedną z największych koncentracji sił morskich i lotniczych od czasów inwazji na Irak w 2003 r. Czy Donald Trump faktycznie chce wojny?

Kocioł

Po pierwszej rundzie negocjacji, 6 lutego w Omanie, Iran odrzucił amerykańskie wezwania do całkowitego wstrzymania wzbogacania uranu. Po drugiej rundzie, która odbyła się 17 lutego w Genewie, minister spraw zagranicznych Iranu Abbas Aragczi oświadczył, że uzgodniono ze stroną amerykańską zasady przewodnie negocjacji, ale bez ostatecznego dealu. Władze w Teheranie deklarują, że ich program nuklearny ma wyłącznie cywilny charakter. Trump obawia się, że Iran dąży do produkcji broni atomowej. To ciekawe, bo w czerwcu 2025 r. w orędziu do narodu i pierwszych oświadczeniach po atakach na trzy kluczowe irańskie obiekty nuklearne – Fordo, Isfahan i Natanz – prezydent utrzymywał, że potencjał nuklearny Iranu został unicestwiony. Co więcej, bronił tej tezy w odpowiedzi na doniesienia wywiadowcze, że program został tylko opóźniony o miesiące lub najwyżej dwa lata. 19 lutego Donald Trump stwierdził, że negocjacje z Iranem w celu zakończenia napiętego impasu przebiegają pomyślnie, ale podkreślił, że Teheran „musi osiągnąć znaczące porozumienie, bo w przeciwnym razie wydarzy się coś złego". Pytanie, co i w jakim właściwie celu?

Rzeczniczka prasowa Białego Domu Karoline Leavitt pytana o plany prezydenta odmówiła komentarza, rzucając na odczepnego, że „prezydent Trump wie, co robić, a czego nie". Jednym z głównych haseł wyborczych Trumpa było zapewnienie o niewciąganiu USA w kolejną wojnę, choć pierwszy rok drugiej kadencji nie potwierdza realizacji tej obietnicy. Niemniej wyciąganie wojskowych zabawek na Iran to wyjątkowo ciężki kaliber gróźb. Doktryna Powella głosi, że istotne jest, czy użycie siły przez Stany Zjednoczone leży w interesie narodowym oraz czy istnieją jasne cele interwencji. Kolejnym ważnym aspektem jest poparcie społeczne i międzynarodowe interwencji. Kiedy George W. Bush przygotowywał się do ataku na Irak, jeździł po całym kraju i opowiadał bajki, że Saddam Husajn ma broń masowego rażenia, która zaraz przyleci do USA, żeby wygumkować populację obywateli. Bush przekonywał, że bierność jest gorsza niż wszystkie inne opcje. Trump nie przedstawił żadnego uzasadnienia, dlaczego chce się w tym momencie konfrontować na polu nuklearnym akurat z Iranem, a nie np. z o wiele lepiej uzbrojoną w głowice Koreą Północną. Bush miał poparcie Zachodu, w tym Wielkiej Brytanii. Donald Trump takiego poparcia nie ma. Żeby było zabawniej, premier Wielkiej Brytanii Keir Starmer odmówił prezydentowi USA zgody na wykorzystanie brytyjskich baz wojskowych w Diego Garcia oraz RAF Fairford w Gloucestershire do ewentualnych ataków na Iran. Teorię o chęci obalenia reżimu i likwidacji programu rakietowego można przecież wsadzić w okolice okrężnicy.

Poszukiwanie sensu

Reżimy tak łatwo nie upadają. Wbrew pozorom irańska dyktatura jest systemem bardzo rozbudowanym, a w pewnych kluczowych wymiarach mocno zdecentralizowanym i wielobiegunowym – szczególnie pod względem rzeczywistych procesów politycznych i podejmowania decyzji. To nie jest klasyczna, monolityczna dyktatura z jednym centrum władzy. Oprócz najwyższego przywódcy Alego Chameneiego na irańskiej scenie politycznej funkcjonują struktury pełne ludzi świadomych, że jedynym, co zapewnia bezpieczeństwo ich dup jest jedność reżimu. Scenariusz wenezuelski w Teheranie nie przejdzie.

Ewentualny konflikt zbrojny nie wznieci też na nowo protestów Irańczyków. Po pierwsze w Iranie nie ma na tyle silnej opozycji, która mogłaby kierować zrywem. Z rozproszonymi protestami władza sobie (niestety) poradzi. Co gorsza, Republika Islamska, walcząc o przetrwanie pod ostrzałem wroga, raczej nie będzie się pieścić z protestującymi i możliwe, że zneutralizuje ich na niespotykaną dotychczas skalę. Jeśli Stany Zjednoczone zdecydują się bombardować Iran, nie obejdzie się bez ofiar cywilnych. Trudno o poparcie społeczne dla agresora, nawet będąc między młotem reżimu a kowadłem amerykańskiej amunicji.

Wycofanie się z programu rakiet dalekiego zasięgu byłoby dla Iranu tożsame z całkowitą kapitulacją i nadstawieniem dupska pod bat. Nie po to buduje się program odstraszania, żeby potulnie się go pozbyć. Wiewiórki donoszą, że

jednym z głównych (oprócz narcyzmu Trumpa) motorów antyirańskiej kampanii w Waszyngtonie jest Binjamin Netanjahu. To dla Izraela, a nie Stanów Zjednoczonych Iran jest głównym zagrożeniem.

Tam, gdzie Amerykanie byliby gotowi na pewien kompromis, żeby skubnąć co nieco na kontraktach handlowych i przy okazji przyklepać jako taki pokój na światowych rynkach, Izrael widzi wzmacnianie swojego wroga. Nawiasem mówiąc, to Izrael był najbardziej obok Donalda Trumpa krytycznie nastawiony do porozumienia nuklearnego Obamy z Iranem (Wspólny Kompleksowy Plan Działania – JCPOA – podpisany w lipcu 2015 r. przez administrację Obamy oraz państwa grupy P5 plus 1). Celem było ograniczenie irańskiego programu nuklearnego w zamian za zniesienie międzynarodowych sankcji gospodarczych. Wszystko hulało do czasu. Sukces dyplomatyczny uwalił Donald Trump, wycofując Stany Zjednoczone z paktu w 2018 r. Wielokrotnie nazywał JCPOA najgorszą umową w historii. Netanjahu odegrał wówczas istotną rolę w przygotowaniu gruntu i wywarciu presji na tę decyzję. Bibi od 2015 r. konsekwentnie sprzeciwiał się porozumieniu. W 2018 r., tydzień przed ogłoszeniem decyzji Trumpa, Netanjahu zorganizował głośną prezentację, na której przedstawił tysiące zdobytych rzekomo przez Mosad w Teheranie dokumentów na potwierdzenie, że Iran ukrywał postęp prac nad programem atomowym. Wielu prominentnych izraelskich ekspertów bezpieczeństwa oceniało to jako błąd strategiczny. Twierdzili, że JCPOA mimo wszystko opóźniało irański program skuteczniej niż inne naciski. Jak pokazał czas, wycofanie się USA z paktu tylko podkręciło irańskie prace nad nuklearnym potencjałem. Zresztą nie jest żadną tajemnicą, że Izrael chętnie zrzuciłby trochę demokracji na Teheran i zrobił z niego drugą Gazę. Zatem im mniej uzbrojenia w Iranie, tym lepiej.

Jebnie czy nie jebnie?

Porozumienie z USA, o ile nie oznacza dla Iranu de facto całkowitej kapitulacji, jest możliwe.

eprasa.pl 6e87ff87ec

współpracować z organizacją CODE PINK oskarżaną przez USA o kolaborację na rzecz Rosji i Chin. Mowa o amerykańskiej organizacji feministycznej, pacyfistycznej i antywojennej, założonej w 2002 r. w opozycji do planowanej przez USA inwazji na Irak. Grupa walczy przeciwko militaryzmowi, promując dyplomację i przekierowanie funduszy z armii na cele społeczne, np. edukację i zdrowie. Przez radykalną krytykę polityki zagranicznej USA bywa (bezzasadnie) oskarżana o romans z Pekinem i Moskwą. Grupa wyraziła solidarność ze Strajkiem Kobiet podczas protestów przeciwko zaostrzeniu prawa aborcyjnego. Nie była to jednak formalna współpraca, a wyraz wsparcia.

Siatka anonimowych prawicowych trolli na portalu Elona Muska rzuciła się natomiast udowadniać, że Fundacja Black Justice Poland „działa na rzecz zmiany podstaw". Krótko mówiąc, w ramach lewackiej indoktrynacji z namaszczeniem „zagranicznych funduszy" wymieni polskich katolików na ciemnoskórych przybyszy. BJP to antyrasistowska organizacja pozarządowa prowadzona przez czarnoskóre osoby. Jako fundacja powstała formalnie w 2025 r., wcześniej działała jako koalicja grup nieformalnych. Celem jej działalności jest obrona praw i wsparcie społeczności czarnych, afrykańskich i afropotomków w Polsce.

Stupidité

„W kilku polskich miastach działają lewicowe bojówki, które od czasu do czasu przypuszczają ataki na działaczy narodowych i katolickich. Podobnie jak we Francji, ataki te są z reguły dokonywane w skrajnie tchórzliwy sposób – wielu uzbrojonych napastników na samotną zaskoczoną ofiarę" – pisze Bosak na X. Faktycznie. We wrześniu 2019 r. młode małżeństwo przyniosło na pokojowe zgromadzenie samodzielnie skonstruowane ładunki wybuchowe. Tragedii udało się uniknąć tylko dzięki czujności policji. 28 października 2020 r. grupa ok. 80 zamaskowanych mężczyzn zaatakowała inny pokojowy protest. Do ataków doszło w kilku miejscach jednocześnie. Użyto pałek, gazu łzawiącego, pięści i kopniaków. Mowa o Marszu Równości w Lublinie i Strajku Kobiet we Wrocławiu.

We Francji w latach 1986–2020 doszło do 53 morderstw motywowanych politycznie. Za 90 proc. z nich odpowiadała skrajna prawica.

IDALIA DUBICKA

Być może Trump nie zdecyduje się zaryzykować długotrwałej i kosztownej wojny z potencjalną ludzką mielonką po stronie amerykańskiej i postara się złagodzić oczekiwania względem reżimu. Zawrze jakąś klejoną na gumę do żucia umowę obejmującą nieszczęsny program nuklearny, która pozwoli zachować mu twarz, odtrąbi zwycięstwo i wycofa siły. Jednak karta ataku wciąż pozostaje w grze.

Próba zastraszenia aparatu władzy Republiki Islamskiej na pewno doczeka się odpowiedzi. Iran może tym razem nie zadowolić się symbolicznym popierdywaniem, żeby w przyszłości nie podzielić losu Iraku, Libanu i Syrii. Ajatollahland jest zdolny do spuszczenia lania nieprzyjaciołom, ma też wsparcie kumpli. Coroczne trójstronne ćwiczenia wojskowe Iranu, Rosji i Chin m.in. w strategicznej cieśninie Ormuz zbiegły się z negocjacjami nuklearnymi w Genewie i groźbami Trumpa. Iran na wszelki wypadek zademonstrował zdolność do blokady cieśniny. Przy okazji umocnił relacje z przyjaciółmi i uzyskał zapewnienie o wsparciu militarnym i radiolokacyjnym. Chiny już udostępniły zdjęcia satelitarne zgromadzonych przez Trumpa zabawek.

Cieśnina Ormuz leży na szlaku wiodącym z Zatoki Perskiej do Morza Arabskiego. To jedyna trasa, którą z zatoki mogą przepływać transporty ropy naftowej. W przypadku jej blokady z 18 mln baryłek ropy transportowanych dziennie, przekierować na inną trasę będzie można jedynie 6,5 mln z nich. O ile Amerykanie nie spróbują sami zająć cieśniny, o tyle Iran pozostanie raczej bierny, bo sam mógłby na tym sporo stracić. Pojawiają się głosy, że blokada cieśniny mogłaby otworzyć drzwi do opcji atomowej. Trudno się dziwić.

Potencjalna wojna z Iranem, oscylując wokół możliwości zamknięcia Zatoki Perskiej, będzie czynnikiem windującym ceny surowców energetycznych, frachtu morskiego i ograniczeń w transporcie lotniczym. To, jak wiadomo, przełoży się na ceny paliw, transport, a w konsekwencji – na ceny produktów i usług. Globalnie. Zakłócenia w cieśninie mogłyby też wpłynąć na 20 proc. światowego handlu LNG. Chociaż głównym celem dostaw gazu z Kataru i Zjednoczonych Emiratów Arabskich jest Azja, bezpieczeństwo energetyczne Europy również mogłoby zostać zagrożone. Całość spowodowałaby nieciekawy efekt gospodarczego domina.

23 lutego „New York Times" doniósł, że Trump nie wyklucza możliwości przeprowadzenia ataku w celu obalenia Chameneiego, jeśli żądania Waszyngtonu nie zostaną spełnione. Przeciąganie liny trwa.

LUCYNA MIKOŁAJCZAK

Rosja po czterech latach wojny

Nie drażnić ludzi z bronią



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

W 2022 r., we wrześniu, byłem w Moskwie. Właśnie mijał siódmy miesiąc od rozpoczęcia wojny Rosji z Ukrainą czy – jeśli ktoś jest przywiązany do rosyjskiej oficjalnej narracji – Specjalnej Operacji Wojskowej. Nie mam czasu, miejsca ani ochoty na rozpoczęcie sporu o to, czy ta wojna rozpoczęła się aby na pewno 24 lutego 2022 czy też w 2014 r. od wojny domowej na Ukrainie. Każdy niech zostanie przy swoim zdaniu. W Polsce dyskusja na ten temat jest jałowa do szpiku kości.

Cztery lata temu byłem wściekły na Rosję. Nie tylko ja zresztą. Atakiem na Ukrainę przekreśliła swoją skuteczną przez dziesięciolecia narrację o dzielnych rosyjskich i radzieckich żołnierzach niosących narodom Europy wyzwolenie od nazizmu. 24 lutego 2022 r. nie zostało z tego nic albo prawie nic.

To miało swoje odbicie w nastrojach. Z 65 proc. Rosjan, którzy twierdzili, że mają „normalny, stabilny nastrój" zrobiło się nagle 45 proc. 57 proc. optowało za rozmowami pokojowymi. Nagle wojna zajrzała Rosjanom nieledwie w okna.

Właśnie minęły cztery lata od rozpoczęcia tej wojny. Trwa ona dłużej niż Wielka Wojna Ojczyźniana – a za 107 dni zrówna się z I wojną światową.

Kupiony spokój

Kiedy jesienią 2022 r. pojechałem do Moskwy, dla Rosjan był trudny czas. Już było jasne, że z oczekiwanego przez niektórych blitzkriegu nic nie wyszło. Nikt nie witał rosyjskiej armii z kwiatami, Kijów nie podał im uroczyście kluczy na srebrnej tacy. Przeciwnie, Ukraińcy bronili swoich domów i rodzin. I bronili skutecznie. Właśnie trwała ukraińska kontrofensywa, która nie tylko zatrzymała rosyjskie wojska, ale też odrzuciła je aż pod Ługańszczyznę. Niektóre jednostki pancerne porzucały na drogach swój sprzęt i uciekały na piechotę, a odwrót nie zamienił się w zawstydzającą rejteradę jedynie dzięki przytomnej reakcji niektórych dowódców.

W Moskwie ogłoszono wówczas częściową mobilizację, która po pierwsze wywołała popłoch wśród wielu obywateli, bo okazało się, że wojna może ich bezpośrednio dotykać, a po drugie obnażyła bezlitośnie braki resortu obrony. Wszechogarniająca ministerstwo korupcja, niekompetencja w strukturach odpowiedzialnych za zabezpieczenie logistyki mobilizacji, kulawy system szkoleń, nieprofesjonalne dowodzenie na froncie…

Rosyjska opinia publiczna reagowała. Oczywiście, była ona tradycyjnie podzielona na Moskwę, Petersburg, inne większe miasta – i resztę. Ta reszta to część społeczeństwa, która mieszka na prowincji, zarabia mało, awans społeczny i finansowy jest dla niej może nie nieosiągalny, ale w każdym razie niesłychanie trudny. Państwo rosyjskie sypnęło groszem dla mobilizowanych i rekrutowanych żołnierzy zawodowych: bardzo wysoki żołd, takież ubezpieczenie, zabezpieczenia dla rodziny na wypadek zgonu na froncie. To były, jak na rosyjską prowincję, pokaźne sumy – i nader często stawały się motorem decyzji, by zaciągnąć się do wojska. Ale to nie była jedyna motywacja. Rosyjska prowincja kierowała się też patriotyzmem i tym, czego Zachód nie jest w stanie pojąć: potrzebą gromadzenia się wokół państwa i jego lidera w krytycznych dla Rosji momentach. Badania opinii społecznej wskazywały, że tak właśnie zareagowało rosyjskie społeczeństwo w 2022 r.

Kiedy pierwsza mobilizacja się skończyła, a państwo postawiło na żołnierzy kontraktowych, uspokoiły się też nastroje społeczne. Razem z nimi ewoluował stosunek do żołnierzy walczących na froncie. Ukształtowała się dziwaczna symbioza: społeczeństwo kupiło tę grę, że Rosja zabezpiecza zwykłym ludziom życie wolne od zagrożenia wcieleniem do wojska, w zamian organizuje ludzi, którzy za pieniądze gotowi są ryzykować życie, by bronić kraju. Ta wygodna pozycja „biorą za to pieniądze" pozwoliła stworzyć dwa światy: my im płacimy, by walczyli, i dzięki temu spokojnie żyjemy. Dawała społeczny spokój, ale jednocześnie stworzyła dwa obce sobie byty. Stosunek cywilów od walczących wyglądał mniej więcej tak: „Nie narzekajcie, sami tam poszliście, bierzecie za to kasę, a my, ci lepsi, mamy czas, by żyć jak do tej pory i się bogacić"… I tak, uczestnicy SOW cieszą się szacunkiem – badania wykazują, że 65 proc. Rosjan jest zdania, że te wszystkie ulgi, pieniądze i ułatwienia im się należą – ale jednak są jakby na oddzielnej planecie. Społeczeństwo, mówiąc inaczej, zaadaptowało się.

Agent zagraniczny donosi

Było to tym łatwiejsze, że przez pierwsze trzy lata PKB Rosji rosło i to całkiem zauważalnie. Można było żyć. Teraz dopiero przyhamowało – tempo wzrostu spadło poniżej 1 proc. – ale i tak, wbrew zapowiedziom niektórych „ekspertów", do katastrofy ekonomicznej droga daleka. A zatem i do powszechnego społecznego protestu.

Oczywiście, ogromny wpływ na wyciszanie nastrojów ma restrykcyjna polityka Rosji wobec rzeczywistych i potencjalnych przeciwników państwa. Cenzura ma się w Rosji znakomicie, duszone w zarodku są wszelkie próby opozycyjnych zachowań, a kary, które orzekają sądy wobec krytycznych choćby aktywistów, są drakońskie. Ruch protestu żon zmobilizowanych, choć chętnie pokazywany w mediach zachodnich, jest raczej marginalny.

Jednocześnie państwo nie unika rozmów o stratach. Putin, jego współpracownicy, a także gubernatorzy regularnie spotykają się z rodzinami poległych – i można oczywiście traktować to jako propagandową zagrywkę, ale ludzie widzą w tym raczej wyraz autentycznej troski o żołnierzy i ich rodziny. Podlewani oczywiście stałą i wszechobecną propagandą z mediów głównego nurtu.

Po czterech latach społeczeństwo rosyjskie jest zmęczone – twierdzą media. Pewnie jest, ale to nie przeszkadza wysokiemu poparciu wojny na Ukrainie. 47 proc. popiera ją zdecydowanie, 31 proc. – raczej. Przeciw, zdecydowanie lub częściowo, jest 15 proc. I to – podkreślmy – po czterech latach wojny, z jej ofiarami, mnóstwem nietrafionych decyzji skutkujących zbędnymi ofiarami, skorumpowanym resortem obrony i wciąż dużym rozwarstwieniem społeczeństwa.

Partię wojny ocenia się na 40 proc. społeczeństwa; partię pokoju na 8–9 proc. Poparcie dla prezydenta nie spadło od początku wojny poniżej 77 proc. Dane te wziąłem z medium, któremu państwo rosyjskie każe każdy nowy sondaż opatrywać wypisanym wielkimi literami zastrzeżeniem: „Niniejszy materiał został wytworzony i jest rozpowszechniany przez agenta zagranicznego Autonomiczna Niekomercyjna Organizacja »Centrum Lewady«"… To w razie, gdyby ktoś zechciał nam zarzucić, że opieramy się na rządowej propagandzie.

Lekcja 1917 roku

Po czterech latach wojny zaczyna coraz częściej pojawiać się pytanie: „co dalej?". Co dalej z żołnierzami, którzy wrócą z frontu, co dalej z Rosją, co dalej ze strukturą społeczną?

Odpowiedź na pierwsze pytanie jest stosunkowo nieźle opracowana. Wiadomo, że powracający żołnierze, z problemami psychicznymi, trudnościami w adaptacji, szczególnie wrażliwi na to, co mogą postrzegać jako niesprawiedliwość, to ładunek wybuchowy, który może zagrozić fundamentom państwa. Nauka z lutego 1917 r. jest powszechnie pamiętana w elitach władzy. Skonstruowano zatem całe programy adaptacji weteranów do cywilnego życia, pomocy psychologicznej, wind społecznych dla nich i ich rodzin. Ale lęk wciąż jest obecny. Swego czasu Margarita Simonian, redaktor naczelna RT, powiedziała „Nie drażnijcie ludzi z bronią" – i to zdanie nic nie traciło ze swej aktualności.

Pytanie o Rosję zajmuje wszystkich, ale jasnej odpowiedzi wciąż nie ma. Coraz bardziej oczywiste staje się, że sformowana przez Putina struktura władzy się wyczerpała. Miała swój dobry i efektywny okres, ale teraz trzeba czegoś nowego.

Czego? Tu już odpowiedzi się rozjeżdżają. Od tych, którzy wciąż tęsknią za ugodową i zblatowaną z Zachodem Rosją sprzed 2014 r., do tych, którzy chcieliby Rosji potężnej, przewodzącej całemu światu. Oba te porządki są niemożliwe do zrealizowania w swej czystej postaci.

Jedno wydaje się pewne: Rosja musi siebie wymyślić na nowo – ze zwrotem w stronę Chin i Azji, bez klasy próżniaczej, pysznej i pełnej pogardy wobec społecznej mierzwy. Bez oligarchów, z innym modelem relacji na linii władza–społeczeństwo.

Na razie to ciężko idzie, bo wytłumaczeniem wszystkich głupich decyzji jest jedno: toczymy wojnę z całym Zachodem. I choć to oczywiście prawda, wiecznie ten argument nie będzie słuchany.

Po zakończeniu wojny powrócą stare konflikty tlące się wciąż w rosyjskim społeczeństwie. Ich rozwiązanie będzie miało wpływ na los samej Rosji, jej najbliższych sąsiadów – i na cały świat.

MACIEJ WIŚNIOWSKI

eprasa.pl 6e87ff87ec

Tuczenie Kościoła w Polsce

Jak nie pisać o klerze i polityce

Czasy takie, że w ostatnich latach książek o Kościele w Polsce jest u nas zatrzęsienie. Ich autorami są dziennikarze, naukowcy, prawnicy czy byli duchowni katoliccy. Temat wyraźnie zażarł. Postanowili na tej czarnej fali popłynąć Paweł Czernich z Onetu i Dawid Serafin z Interii, którzy wydali właśnie książkę „Co łaska. Ile politycy płacą za poparcie księży" (Wydawnictwo Otwarte). Tę pozycję można uznać za wiarygodny miernik tego, co dziś w mediach głównego nurtu powinno się pisać o relacjach państwa z Kościołem katolickim. Napisana w duchu przysłowia: Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek albo trawestując powiedzenie z czasów komuny: Kościół – tak, wypaczenie – nie.

Rzućmy okiem choćby na początek książki, gdzie czytamy: „Weźmy Caritas. Katolicka organizacja, największa pomocowa siła w kraju. Z jednej strony realizuje misję zgodną z katolicką doktryną: pomaga potrzebującym. Z drugiej – wyręcza państwo, które powinno dbać o swoich obywateli. Bezdomni dostają zupę od Caritasu, a nie od państwa. Samotne matki często szukają wsparcia w kościelnych ośrodkach, a nie urzędach. Czy to normalne? Czy tak to powinno wyglądać? Na te pytania nie tak łatwo udzielić odpowiedzi".

Otóż z powyższym stanowiskiem jest parę problemów.

Po pierwsze, dużą część funduszy Caritas pozyskuje od instytucji publicznych – państwa i samorządów, nie wspominając o kasie unijnej. To wygodne i pozwala udawać, że państwo coś robi, choć tak naprawdę robi dobrze Kościołowi.

Po drugie, nie do końca przejrzyste są również finanse Caritasu – jest parę prawomocnych wyroków pokazujących wyłudzenia pieniędzy rzekomo mających wspierać najsłabsze grupy społeczne, a realnie trafiających do kasy przykościelnej instytucji.

Po trzecie, istnieją przesłanki, by sądzić, że owe nieszczęsne samotne matki są w ośrodkach kościelnych poddawane katolickiej indoktrynacji.

Po czwarte wreszcie, instytucje kościelne są faworyzowane przy przydzielaniu publicznej kasy, co jest ukrytą formą dotacji działalności tej religijnej instytucji, nie wspominając o robieniu im dobrego PR i włączania w sieć instytucji publicznych.

Na marginesie „dobroczynności" kościelnej zawsze przypominam sobie opowieść mojej znajomej, opiekunki w miejskim domu pomocy społecznej na zachodzie Polski. Wśród jej koleżanek krążą wręcz legendy o tym, jak marną opiekę dostają starzy i schorowani pensjonariusze placówek prowadzonych przez zakonnice (finansowanych przez samorząd), a pracownice dostają mizerne wypłaty. Jedna z nich rzuciła robotę po miesiącu, bo siostrzyczki bardziej dbały o udział w mszach niż o poranną zmianę pampersów, namawiając podopiecznych do regularnego przyjmowania komunii. A zatem staruszek może być zasrany, byleby był w stanie łaski uświęcającej…

W książce pojawia się parę ciekawych smaczków. Jak choćby opowieść o początkach lat 90., gdy kler jawnie wspierał Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe (ZChN), organizując prelekcje polityków w kościołach po niedzielnych mszach.

Najciekawsze są losy pewnego polityka, o którym krążyły pogłoski, że jest synem znanego biskupa. Jak mówił Ryszard Czarnecki, dawna szycha ZChN-u: „Nie wiem, czy sam rozpuszczał te plotki, ale na pewno im nie zaprzeczał.

Żartował później, że przyjeżdżały do niego pielgrzymki proboszczów z całej diecezji. Oni wszyscy uwierzyli, że mają do czynienia z synem biskupa, i niemal mu się spowiadali. Jeden proboszcz miał żalić się, że wierni podejrzewają go o romans z gospodynią, a ona „tylko myła okna na plebanii". Drugi narzekał na małe dochody z tacy i prosił, żeby wstawić się u biskupa i „załatwić lepszą parafię". Nasz kolega oczywiście wszystkim obiecywał, że „pomoże, załatwi, tylko muszą go wybrać…".



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Interesujące są również opowieści z Polski powiatowej, w której zawsze sztamę trzyma ksiądz z panem i plebanem. I okazuje się, że nie ma ważniejszej sprawy dla samorządu od uchwalenia, że dana gmina czy miasteczko oddaje się pod opiekę Matki Bożej lub Jezusa Chrystusa. Kierujący samorządem są bardzo pobożni – jak rozumiem, gdy kradną i zdradzają żony, to zaraz biegną do spowiedzi – i swoje przekonania wpychają innym siłą do gardła.

Zabawnie brzmią słowa burmistrza Myślenic Jarosława Szlachetki, który z dumą opowiadał dziennikarzom, że zawierzył miasto i jego mieszkańców Matce Bożej. Nie zrobił tego pod wpływem impulsu, lecz „decyzja była przemyślana, poprzedzona długimi dyskusjami i modlitwą", „nie była to inicjatywa jednego człowieka, ale wyraz woli całej wspólnoty".

Feministki zapewne ucieszy, że w zmaganiach matki z synem (Maryi i Jezusa) o dwie długości prowadzi Matka Boska. Zawierzyło jej losy mieszkańców 14 samorządów: Jasło, Pszów, Siemianowice Śląskie, Rzepin, Marki, Piotrków Trybunalski, Olesno, Kraśnik, gmina Olszanka, powiaty: tomaszowski, łowicki, opoczyński i ziemia lubaczowska. Jezus ma w Polsce na liczniku zaledwie pięć miast: Jarosław, Goleniów, Kamień Pomorski, Radzyń Podlaski i Opole Lubelskie.

Znamienne, że często po wsiach i małych miasteczkach przytulanie się do Kościoła jest poniekąd jedyną opcją. I tak koło gospodyń wiejskich może się spotkać wyłącznie w salce parafialnej, brak jest zupełny miejsc neutralnych, w których mogłoby się toczyć życie lokalnej społeczności. Samorządy się cieszą, nie trzeba inwestować w kulturę, jakąś alternatywę dla kościelnych inicjatyw. Przypomina mi się mój ojciec, pobożny katolik, opowiadający, że listę, które rodziny w danym czasie sprzątają kościół, prowadzi sołtysowa, co uznaje za swoją oczywistą powinność…

„Co łaska" to książka nierówna, mało jest w niej rzeczy, które nie byłyby powszechnie znane, przynajmniej dla osób, które interesują się relacjami państwa z Kościołem katolickim w Polsce. Chwilami wieje z niej nudą, np. tylko wściekłych antykomunistów – to raczej mała, lecz bardzo hałaśliwa grupka – interesują długie wywody dotyczące współpracy kleru z SB.

Autorzy zdecydowanie zostawiają zbyt dużo pytań bez odpowiedzi, a tok wywodu zdaje się chwilami przypominać amerykańskie dziennikarstwo wzorowane na relacjach z meczów: ci mówią tak, tamci mówią inaczej. Brak tu instynktu drążenia, aby przekonać się, jak naprawdę jest…

ZUZ

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ Rośnie liczba ofiar ks. Waldemara P., byłego proboszcza parafii w Skórowie, podejrzanego o molestowanie seksualne. Prokuratura Okręgowa w Gdańsku przedstawiła byłemu proboszczowi i dziekanowi zarządzającymi dziewięcioma parafiami na Kaszubach zarzuty dotyczące molestowania seksualnego czterech chłopców w wieku od 15 do 18 lat. W trakcie przeszukania parafii, gdzie mieszkał ksiądz, zabezpieczono jego telefon komórkowy, na którym znalazła się korespondencja o charakterze intymnym z mężczyznami i nieletnimi chłopcami. W grudniu sąd zadecydował o areszcie tymczasowym dla klechy. Prokuratura zaapelowała wówczas do innych ofiar księdza, by się do niej zgłaszały. Na wezwanie odpowiedziały dwie kolejne osoby. Trwają dalsze czynności zmierzające do ustalenia pozostałych pokrzywdzonych. Wytypowano kilkanaście takich osób.

✚ 19 lutego Kazimierz Ch., były proboszcz parafii Św. Krzyża w Kozienicach (woj. mazowieckie), został zatrzymany i doprowadzony do Prokuratury Okręgowej w Radomiu. Jak ustalili śledczy, od listopada 2017 r. do lutego 2023 r. proboszcz miał przekazać ponad pół miliona złotych z pieniędzy parafialnych swojemu znajomemu. W latach 2019–2022 duchowny pożyczał od parafian pieniądze na rzekome inwestycje, nie mając na to zgody kurii diecezjalnej. Łącznie pozyskał w ten sposób 1,5 mln zł. Ponadto Kazimierz Ch. posługiwał się fałszywym dokumentem w celu rozliczenia dotacji publicznej w wysokości 110 tys. zł oraz przywłaszczył powierzone mu mienie o łącznej wartości 66 tys. zł na szkodę osób prywatnych i duchownych. Duchowny nie przyznał się do popełnienia zarzuconych mu przestępstw i odmówił składania wyjaśnień. Grozi mu do 10 lat pierdzenia w pasiak.

✚ W sosnowieckim sądzie rejonowym 17 lutego rozpoczął się proces ks. Jacka K., proboszcza ze wsi Mostek pod Wolbromiem. Akt oskarżenia obejmuje 10 zarzutów. Dziewięć dotyczy przestępstw seksualnych na szkodę osób małoletnich, kolejny obejmuje gromadzenie materiałów o charakterze pedofilskim, w tym pornografii dziecięcej. Klecha inicjował życie seksualne u 14- i 15-latek, z którymi współżył. Dopuszczał się również molestowania i tzw. innych czynności seksualnych. Najmłodsza poszkodowana miała 10 lat. Do przestępstw miało dochodzić w latach 2008–2024. Ks. Jacek K. na ofiary wybierał dziewczęta, które miały trudną sytuację życiową i były izolowane przez środowisko. Ze względu na dobro poszkodowanych wyłączono jawność całego procesu. Duchowny nie przyznaje się do winy. Grozi mu do 30 lat pierdla.

✚ Minister edukacji Barbara Nowacka obwieściła, że rząd nie przewiduje rekompensat dla samorządów, które zdecydują się finansować dodatkowe lekcje religii ponad ustalony wymiar. Przypomnijmy, że od września ubiegłego roku religia lub etyka w szkołach jest realizowana w wymiarze jednej godziny tygodniowo. Szkoda, że pani minister nie była tak stanowcza, kiedy miała szansę zredukować liczbę godzin szkolnej religii do zera.



Rys. WIDGET

✚ Podczas National Breakfast w Waszyngtonie, 5 lutego, prezydent Donald Trump ogłosił, że 17 maja 2026 r. Stany Zjednoczone zostaną ponownie zawierzone Bogu. Amerykańskie amatorstwo sięga nawet dewocji. Polska rutynowo zawierzana jest Niepokalanemu Sercu Maryi, wtórnie Jezusowi Chrystusowi, okazjonalnie świętemu Józefowi, o Bogu ojcu nie wspominając.

KLECHA

Wieści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.


Rys. OBYWATEL JANEK

Konkordat o lasce Czarzastego

Rzym–Warszawa, odrębna sprawa

23 lutego 1998 r. ówczesny prezydent Aleksander Kwaśniewski podpisał dokumenty ratyfikujące konkordat. Kwaśniewski dzięki temu przejechał się papamobile, a kler jeździ po Polsce jak po łysej kobyle. Ta umowa służy personelowi Kościoła kat. jako oręż w każdej dyskusji. Jedni wymachują konstytucją, inni RODO, a księża konkordatem. Dzięki powszechnej nieznajomości tych tekstów oraz szerokiemu polu ich interpretacji służą one do okładania przeciwnika i zamykania gęby pieniaczom. Każdy krok w kierunku świeckiego państwa kwitowany jest przez kler zaklęciem: „ale konkordat stanowi że…" – i kropka.

13 lutego, 28 lat po ratyfikacji, do sejmu trafiła petycja o wypowiedzenie konkordatu. Podpisało ją 15 tys. osób – podpisy zbierała Fundacja Grupa Inicjatywa Rafała Betlejewskiego. We wrześniu ubiegłego roku inicjatorzy pojawili się w sejmie i zaprezentowali główne korzyści z zerwania umowy z Watykanem. „Polska odzyskała suwerenność w trzech zakresach. Po pierwsze, wypowiedzenie Konkordatu przywróci polskiemu państwu suwerenność w zakresie edukacji dzieci. Nie wszyscy wiedzą, że Konkordat zmusza polski system oświatowy do organizacji katechezy w szkołach publicznych, a MEN nie ma żadnego wpływu na treść katechezy, gdyż Polska zrezygnowała z tego w Konkordacie. Kościół może np. nauczać, że homoseksualizm to choroba, i system edukacji nie może z tym nic poradzić. Po drugie, w zakresie dysponowania groszem publicznym. Polska nie może być przymuszona do stałego i bezwarunkowego wspierania jednego kościoła z budżetu państwa niezależnie od tego, jak ten kościół się zachowuje i co robi. Wreszcie Polska musi odzyskać suwerenność w zakresie procesu wyborczego. Nie może być tak, że Kościół katolicki jest nieformalną partią polityczną, która wspiera jednych kandydatów, a gani innych i »ustawia« nam wybory. To deformuje polskie życie polityczne. Kościół trzeba odciąć od polskiej polityki" – przekonywał Betlejewski.

Apele o wypowiedzenie konkordatu są świętem cyklicznym, zwłaszcza w okolicy rocznic z nim związanych. Tym razem inicjatorzy liczą na przychylność marszałka Włodzimierza Czarzastego, bo po Hołowni raczej trudno się było spodziewać antyklerykalnych akcji.

Czarzasty postawił się już jednemu imperium, może więc ośmielony medialnym sukcesem i poparciem społecznym odważy się zadrzeć z Watykanem. Najwyżej nuncjusz apostolski zerwie z nim relacje.

Strona kościelna zazwyczaj przemilcza takie inicjatywy, ale chyba zabolało. Boją się, że Czarzasty serio może coś odjebać. Katolicka Agencja Informacyjna wysmażyła artykuł mający udowadniać „absurdalność postulatu wypowiedzenia konkordatu", a zadanie to powierzono ks. Piotrowi Wiśniewskiemu. Miał łatwo: ponieważ do łask wróciła walka z komuną, księżulo pożenił prawo międzynarodowe z patetycznymi hasełkami o totalitaryzmach i szlus. „Historia uczy jasno: tam, gdzie państwo wypowiada wojnę Kościołowi, tam szybko wypowiada wojnę rodzinie, a w końcu samemu człowiekowi. Dlatego postulaty wypowiedzenia Konkordatu i likwidacji nauczania religii w Polsce nie są ani nowoczesne, ani racjonalne. Są ideologiczną kalką XX-wiecznych totalitaryzmów, które już raz przyniosły Europie ruinę duchową, moralną i demograficzną" – z niczym niepopartą pewnością poucza ks. Wiśniewski. Komuch Czarzasty jako wykonawca testamentu Stalina dopełnia obrazu, który kler maluje w tej dyskusji. A w oddali Kwaśniewski macha do nas z papamobile, uśmiechając się filuternie jak papież wspominający kremówki.

MATT KOBOSKO

eprasa.pl 6e87ff87ec

Przybywa u nas dziewic konsekrowanych

Synowe Bozi

„Ach, co to był za ślub” – śpiewało pół Polski w 1970 r. z zespołem Quorum w Opolu. Ciekawe, czy tak nuciły sobie rodziny wyświęconych w lutym czterech nowych rodzimych dziewic konsekrowanych. Było nie było, ich rodzice mogli się pochwalić, że za teścia mają samego Pana Boga, a to – jak powszechnie wiadomo – dodaje przynajmniej 10 punktów do lansu. No i jak tu nie polubić teściowej, jak to wszak sama Przenajświętsza Panienka!

Ich córki związały się nie z pierwszym lepszym fagasem, lecz z samym Jezusem. A pan to majętny, ma tylko w Polsce kościołów na pęczki, ma szacunek w społeczeństwie, a zatem można mu wybaczyć, że praktykuje pogańskie wielożeństwo, wszak tylko w zeszłym roku w Rzeczypospolitej pojął za żonę aż 18 kobiet. Chyba jednak pożycie w tych związkach nie układa się najlepiej, skoro żadna mężatka jak dotychczas nie powiła dzieciątka…

O co chodzi z tymi dziewicami konsekrowanymi? Jak nie wiem, to się dowiem. A najlepiej czerpać ze źródła, czyli z oficjalnej strony internetowej Centrum Promocji Indywidualnych Form Życia Konsekrowanego pod patronatem podkomisji Konferencji Episkopatu Polski. Okazuje się, że „Dziewice – wyrażając święty zamiar gruntowniejszego naśladowania Chrystusa – są Bogu poświęcone przez Biskupa Diecezjalnego według zatwierdzonego obrzędu liturgicznego, zostają mistycznie zaślubione Chrystusowi, Synowi Bożemu, i przeznaczone na służbę Kościołowi”.

Oczywiście, za przywilejem poślubienia Jezusa muszą iść określone zobowiązania, począwszy od „życia w czystości, aby bardziej kochać Chrystusa i lepiej służyć bliźnim. Zgodnie ze swym stanem i otrzymanymi charyzmatami oddają się pokucie, dziełom miłosierdzia, apostolstwu i gorliwej modlitwie. Codziennie odmawiają Liturgię Godzin, zwłaszcza Jutrznię i Nieszpory. W ten sposób, łącząc swój głos z głosem Chrystusa, Najwyższego Kapłana, oraz Kościoła świętego, nieustannie wielbią Ojca Niebieskiego i wypraszają zbawienie świata”.

Konsekracja nowych dziewic to huczna impreza – choć nie występuje na niej Sławomir ani Zenek Martyniuk – w roli wodzireja jest zawsze jakiś biskup. I tak na początku lutego w święto Matki Boskiej Gromnicznej, w archikatedrze wrocławskiej konsekrowano dwie dziewice, a mistrzem ceremonii był bp Jacek Kiciński. Wygłosił on homilię na pełnej kurwie. Było o tym, że młodzi biegną szybko, ale starsi znają drogę, więc w kajaku młodzi są przy wiosłach, a starsi przy sterze. Że trzeba się szykować na powtórne przyjście Chrystusa (choć – dodam od siebie – zrujnowałoby to Kościół katolicki), a nie być zatopionym w doczesności. Że jak „sami nie płoniemy miłością Boga, zabraknie ciepła, by ogrzać siebie, a tym bardziej innych”.

Biskup dodał, że zadaniem życia konsekrowanego jest niesienie „Jezusa do świątyń ludzkich serc”, apelując: „Stawajmy się Bożą świecą, która wskazuje na Światłość świata – Jezusa”.


Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

No cóż, przekazy historyczne faktycznie często łączyły konsekrowane kobiety ze świecą, ale chyba nie o to szło Kicińskiemu, nawet jeśli stary świntuch Freud mógłby uznać inaczej…

Kiedy miliony Polaków obchodziły walentynki, szykując się do upojnych nocy w towarzystwie przez siebie upragnionym, w Katedrze św. Michała Archanioła i św. Floriana Męczennika na warszawskiej Pradze odbyła się uroczysta msza, podczas której dwie kandydatki – Irena Świerdzewska i Urszula Mróz – przyjęły konsekrację dziewic z rąk biskupa diecezji warszawsko-praskiej Romualda Kamińskiego.

Jak donosi „Gość Niedzielny”, dziewice odpowiedziały na prośbę biskupa „Przyjdźcie, córki, aby Bóg uświęcił wasze zamiary przez naszą pokorną posługę” słowami: „Oto jestem, Panie, bo mnie wezwałeś”. Kandydatki wypowiedziały formułę modlitwy: „Ojcze, przyjmij postanowienie życia w doskonałej czystości i naśladowania Chrystusa, które z Bożą pomocą składam wobec Ciebie i świętego ludu Bożego”.

Biskup Kamiński wylewał krokodyle łzy, że tak rzadko dochodzi do konsekracji dziewic, a ich wybór drogi życiowej – w świecie przesiąkniętym indywidualizmem – jest często niezrozumiały. Ostrzegał, że postawa „jestem ponad wszystko” prowadzi na bezdroża i ku zagładzie.

Natchniony purpurat dodał: „A więc uwierzyliśmy Panu, który posiada wszystko, ale przede wszystkim jest tym, który jest pełnią miłości, pełnią miłosierdzia. I chcemy z Nim związać nasze drogi. On tego bardzo pragnie. Tak bardzo byśmy chcieli, aby niejako nas zawłaszczył, wziął w całkowite posiadanie. Ale to nie jest to samo co niewola od świata. To wzięcie w niewolę przez Pana Jezusa zobowiązuje nas do tego, abyśmy się stawali tak jak On”.

Coś mi się zdaje, że wiele pań praktykujących BDSM – tj. lubujących się w tych wszystkich skórach, pejczach, kajdankach oraz klamerkach na sutki i wargi sromowe – też wciąż marzy, aby ktoś je wziął w całkowite posiadania, w niewolę. To im daje spełnienie, podobnie jak te obrączki symbolizujące mistyczne zaślubiny z Jezusem dziewicom konsekrowanym.

Dziewica Irena, dziennikarka katolickiego tygodnika „Idziemy”, stwierdziła z emfazą: „Konsekracja, którą przyjmujemy po okresie przygotowań, jest prezentem od Boga i zaproszeniem do szczególnej z Nim bliskości. Po tym, co się wydarzyło, jeszcze wyraźniej czuję, że Pan Jezus jest realną osobą, że stoi tuż obok, jak oblubieniec przy oblubienicy”.

W ten sposób wreszcie nabrało sensu katolickie zawołanie „Jezus żyje!”. Żyje, a nawet wiemy, z kim żyje: z 460 polskimi dziewicami konsekrowanymi, a karą za taką monstrualną poligamię jest posiadanie setek teściowych.

ZUZ

Szafarz wychodzi z szafy

Ambona to nie mównica sejmowa (dla lewaków)

W polskich kościołach nie ma miejsca dla polityki. No dobra, bez żartów, uściślijmy. Nie w polskich kościołach, tylko w jednym, i nie dla polityki w ogóle, ale w konkretnym wydaniu. „Nie godzi się, żeby osoba wyrażająca publicznie swoje poglądy polityczne była szafarzem Eucharystii. Co więcej, nie powinna nawet śpiewać psalmu podczas mszy. Tak uznano w jednej z parafii” – napisał dominikanin Paweł Gużyński w zakonnym miesięczniku „W drodze”, opisując historię małżeństwa Krzywoniów z Opola, którzy z pupilków przeistoczyli się we wrogów proboszcza. Wszystko przez te przeklęte media społecznościowe i nieprawomyślne poglądy.

Prawie ksiądz

Jarosław i Regina. Ona organistka, on – nadzwyczajny szafarz komunii, czyli świecki człowiek, który wspomaga księdza w rozdzielaniu opłatka. Jeszcze nie ksiądz, ale roznoszący „Pana Jezusa”, więc wyżej niż pospólstwo. Zresztą przez rok był w seminarium, więc zadatki na duchownego miał. Ma też ambicje polityczne, których nie ukrywa. Jest działaczem PSL, kandydował w wyborach parlamentarnych i samorządowych z list ludowców. Ludzie widzieli plakaty, ksiądz też, nikt nie zgłaszał pretensji. Aż do drugiej tury wyborów prezydenckich.

Jarosław Krzywoń wrzucił na Facebooka przed drugą turą następujący manifest: „Ta druga tura to w gruncie rzeczy plebiscyt, który da odpowiedź na pytanie, gdzie Polska ma być. Czy tak, jak zdecydowali nasi praprzodkowie i sam Bolesław Chrobry, będziemy zakotwiczeni w cywilizacji zachodnioeuropejskiej, której dzisiejszą wyrazicielką jest Wspólnota Europejska? Czy pozostaniemy w ruskiej strefie wpływów. Niestety wszyscy, którzy leżą na prawo od PSL, są świadomie lub nie za ruską wersją organizacji państwa, co stoi w sprzeczności z polską racją stanu. Polsko, obudź się! Ukraina, żeby być w Unii, musi o to walczyć, czy ty oddasz POLSKĘ w ręce tych, którzy Unii w Polsce nie chcą?” – napisał i kliknął „opublikuj” na swoją zgubę. Dwa dni później dla niepiśmiennych wrzucił jeszcze zdjęcie z Trzaskowskim, czym przypieczętował anatemę. – To był mój prywatny profil, moje prywatne zdanie. Nie pisałem jako szafarz, nie pisałem jako parafianin, tylko jako obywatel. Nie namawiałem nikogo w kościele, nie roznosiłem ulotek, nie robiłem agitacji pod świątynią. Po prostu napisałem, co myślę – mówi teraz na potrzeby reportażu „Nowej Trybuny Opolskiej”.

Co parafia, to obyczaj

Rok w seminarium to najwidoczniej za mało, żeby wiedzieć, że w Kościele kat. mówienie tego, co się myśli, nie jest cnotą, a przewinieniem z tych najcięższych. Media społecznościowe wbrew nazwie zaś mają to do siebie, że raczej dzielą społeczności, niż je budują. Zwłaszcza jeśli chodzi o politykę. Wpis pana Jarosława rozgrzał jego znajomych, którzy uprzejmie donieśli komu trzeba o agitacji szafarza na rzecz kandydata „cywilizacji śmierci”. Wkrótce sprawa dyskutowana była już wśród tych, którzy nawet nie mają Fejsa, aż stanęła na lokalnym sanhedrynie, czyli radzie parafialnej. Werdykt był jednoznaczny: winny.

Człowiek, który startuje z listy „tęczowego Władka”, a w wyborach popiera „Bążura”, nie może stać przy ołtarzu pańskim, a tym bardziej dotykać Najświętszego Sakramentu tymi samymi łapami, którymi wcześniej skreślał nazwisko Trzaskowskiego na karcie wyborczej

i wrzucał ją do urny. Postawiono mu ultimatum: albo Trzask, albo Chrystus. Wybrał Rafała.

Opowiedzenie się po stronie koalicji rządzącej wyrzuciło Jarosława – a w ślad za nim jego małżonkę – poza nawias wspólnoty parafialnej. W akcie solidarności Regina rzuciła papierami organistki. Mąż decyzją proboszcza nie tylko nie może udzielać komunii, ale w ogóle pojawiać się przy ołtarzu. Jego miejsce jest od tej pory z plebsem, w ławkach. Z gwiazd Krzywoniowie stali się pariasami, bo sama ich bezczelna obecność w świątyni może irytować co bardziej rozgrzanych parafian. Niechby się zdradzali, kradli, bili, ale kto to słyszał głosować na Trzaskowskiego! W efekcie – choć wiary nie stracili – przestali uczęszczać do dotychczasowej placówki realizacji duchowych potrzeb. Chodzą, ale gdzie indziej. Co ciekawe, proboszcz w parafii obok takich obiekcji nie ma i Jarosław wrócił do swojej posługi, a Regina do organów.

Pyskaty dominikanin

Paweł Gużyński opisał ich historię w miesięczniku „W drodze” w wersji zanonimizowanej, jako Zuzannę i Henryka Hamaków, nie podając także lokalizacji. Ten dominikanin znany jest choćby z krytyki Rydzyka, a także średniej miłości dla jego partnerów z PiS. Występuje w mediach krytykujących Kaczyńskiego i sam się w tej krytyce niespecjalnie hamuje. W 2017 r. powołano nawet specjalną komisję do zbadania jego wypowiedzi, po tym jak udzielił wywiadu „Wyborczej”, w którym stwierdził, że „większość episkopatu i mnóstwo księży w Polsce zaangażowało się po stronie PiS, a teraz budzą się z ręką w nocniku”. Zakazu wypowiedzi ostatecznie nie dostał, ale odbył rozmowę dyscyplinującą i został zmotywowany do wypowiadania się bardziej oględnie w sprawach drażliwych. Teraz znowu jątrzy, publikując tekst o zaangażowaniu pobożnych katolików po niewłaściwej stronie wojny polsko-polskiej.

Małżeństwo Krzywoniów w końcu wyszło z cienia i opowiedzieli wszystko red. Mateuszowi Majnuszowi z „Nowej Trybuny Opolskiej” już pod nazwiskiem. Dziennikarz dręczył plebana w ich sprawie – ks. Mateusz Buczma wpierw się migał, ale w końcu, po zgodzie kurii, porozmawiał. Sprawa, twierdzi, jest dla niego smutna i trudna, bo stracił zaangażowanych parafian, a o takich w dzisiejszych czasach trudno. Podtrzymuje jednakże swoją decyzję, bo przy ołtarzu nie ma miejsca dla polityków. Nie pomogło nawet to, że Mateusz i Jarek to koledzy z seminarium. Ksiądz stanął po stronie instytucji, nie sentymentu. Dziennikarzowi tłumaczy: – Nie chodziło tylko o politykę jako taką. Chodziło też o światopogląd. Jeżeli ktoś publicznie popiera kandydata, który jasno mówi o liberalizacji prawa aborcyjnego, to dla części wiernych jest to sprzeczne z nauką Kościoła. I ja nie mogę udawać, że tego nie widzę. Dla wielu osób to była granica nie do przejścia.



Rys. WIDGET

Wyskrobane poglądy

Krzywoniowie zapewniają, że są przeciwko skrobankom, ale proboszcz nie dowierza. Kuria opolska wspiera ks. Buczmę. Urzędnicy pana biskupa żartobliwie twierdzą, że kościół to nie miejsce na agitację polityczną. Rzecznik kurii ks. Joachim Kobiela reporterowi „Nowej Trybuny Opolskiej” tłumaczy, że szafarz to poglądy polityczne se może nawet mieć, ale „czym innym jest aktywne i publiczne angażowanie się po stronie konkretnej opcji politycznej lub konkretnego polityka, zwłaszcza w ramach kampanii wyborczej. Osoby pełniące funkcje liturgiczne czy posługujące w przestrzeni kościelnej powinny mieć świadomość, że reprezentują wspólnotę Kościoła i jego nauczanie. Dlatego oczekuje się od nich roztropności oraz unikania działań, które mogłyby być odczytywane jako utożsamianie Kościoła z określoną partią czy środowiskiem politycznym, zwłaszcza jeśli w ważnych sprawach moralnych, jak np. kwestia aborcji, reprezentują oni stanowisko jednoznacznie sprzeczne z nauczaniem Kościoła”.

Abepe Jędraszewski na emeryturze zaśmiewa się w głos, a Rydzyk nie ma czasu się śmiać, bo akurat gości Kaczyńskiego, który ma ogłosić w Radiu Maryja kandydata PiS na premiera. Oni i im podobni stanowisko w sprawach zasadniczych mają jasne, a że akurat jest zbieżne z programem PiS, to absolutny przypadek i wyrok boski.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

eprasa.pl 6e87ff87ec

Życie w dobrobycie

Państwo ma różne sposoby walki z bezrobociem. Jedne polegają na pomaganiu ludziom w powrocie do pracy, inne – na udawaniu, że problem sam się rozwiąże. Polska wchodzi właśnie w ten drugi wariant. I robi to z rozmachem. Bezrobocie jest dziś najwyższe od pięciu lat. W takiej sytuacji logika podpowiadałaby jedno: więcej pieniędzy na aktywizację, więcej staży, szkoleń i wsparcia dla tych, którzy próbują stanąć na nogi. Tymczasem państwo postanowiło zrobić dokładnie odwrotnie. W 2026 r. Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej przeznaczyło na walkę z bezrobociem 2,1 mld zł. Na pierwszy rzut oka dużo. To kwota, za którą – obrazowo mówiąc – można by wybudować dwa tunele na zakopiance. Problem w tym, że rok wcześniej urzędy pracy miały do dyspozycji 3,6 mld zł. Różnica to 1,5 mld zł. Czyli ponad 40 proc. mniej. Dziwi to tym bardziej, że pieniądze na aktywizację bezrobotnych nie pochodzą z podatków, ale z Funduszu Pracy, który jest zasilany składkami pracodawców. Na koniec 2026 r. w Funduszu zgromadzone będzie rekordowe 28 mld zł. Rekord w historii. Góry gotówki leżą więc na koncie, a jednocześnie urzędy pracy słyszą: „nie ma pieniędzy". Wszystko to dzieje się w państwie, w którym resort pracy kierowany jest przez ministrę wywodzącą się z formacji, która od lat mówi o ochronie pracowników, wsparciu słabszych i aktywnej roli państwa. Chyba że teraz bezrobocie zwalcza się nie przez aktywizację, ale przez oszczędzanie. A że bezrobotnych przy tym przybywa? Widocznie taki jest plan.

Bo resort pracy ma dziś świetne samopoczucie. „Sytuacja na rynku pracy w Polsce pozostaje dziś dość dobra" – zapewnia Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej. Problem polega na tym, że rynek pracy ma w ostatnich miesiącach zupełnie inny nastrój niż resort. W maju stopa bezrobocia wynosiła 5 proc., by w grudniu podskoczyć do 5,7 proc. Coraz więcej zwolnień grupowych, coraz trudniej o nową pracę, coraz więcej ludzi, którzy po raz pierwszy od lat zaczynają liczyć tygodnie do końca zasiłku. Ministerstwo jednak pozostaje spokojne. W uzasadnieniu projektu rozporządzenia ułatwiającego zatrudnianie cudzoziemców czytamy: „wg Eurostat utrzymujemy się w czołówce krajów z najniższą stopą bezrobocia w UE – 3,2 proc. we wrześniu 2025 r.". Brzmi imponująco, dopóki nie przypomnimy sobie, że to zupełnie inna metodologia niż krajowa i że według i tych danych sytuacja się pogarsza. Resort podkreśla też, że od kilku już lat liczba bezrobotnych nie przekracza 900 tys. osób. To zdanie jest prawdziwe w takim sensie, w jakim prawdziwe było hasło „Polska rośnie w siłę". Nie przekracza, ale systematycznie się do tej granicy zbliża. MRPiPS tłumaczy to „naturalnym bezrobociem związanym z fluktuacjami kadr". Naturalnym, czyli takim, którym nie trzeba się przejmować. Tymczasem liczby są uparte. Bezrobocie rośnie, a wraz z nim poczucie niepewności. Zwolnienia grupowe obejmują nie tylko przemysł, ale też usługi i sektor publiczny. Coraz częściej o pracę rywalizują osoby z wieloletnim doświadczeniem, a nie tylko młodzi absolwenci. To nie jest obraz „dość dobrej sytuacji", tylko rynku, który wchodzi w fazę schładzania. Resort pracy jednak wciąż celebruje sukces. Jakby sam fakt, że „w Europie jest gorzej", miał być wystarczającym usprawiedliwieniem dla pogarszającej się sytuacji w kraju.

Państwo kocha przedsiębiorców. Kocha ich miłością bezwarunkową, czułą i wyrozumiałą. Gdy trzeba, obniży im składki. Gdy nie trzeba, też obniży. Gdy pojawi się problem, zawsze znajdzie eksperta, który wytłumaczy, że to wina rynku, wojny, pogody albo planet. Efekt tej miłości właśnie widać w statystykach Państwowej Inspekcji Pracy. W 2025 r. liczba skarg na pracodawców była rekordowa. Do PIP wpłynęło 50,5 tys. zawiadomień. O ponad 15 proc. więcej niż rok wcześniej. Eksperci oczywiście wiedzą, co się stało. Zawsze wiedzą. Zdaniem Katarzyny Lorenc z BCC „zadziałała promocja PIP". Ludzie nagle dowiedzieli się, że istnieje taka instytucja i można do niej napisać. Zupełnie jakby wcześniej pracownicy żyli w lesie bez internetu, telefonów i kolegów z pracy, którzy mówią: „idź z tym do inspekcji". Według ekspertów winna jest też nowelizacja ustawy o rynku pracy i planowana reforma PIP. Czyli nie to, że pracodawcy opóźniają wypłaty, nie płacą za nadgodziny, obchodzą prawo pracy bokiem i tyłem. Nie. Winne są ustawy i informacja. Państwo, które kocha przedsiębiorców, nawet gdy dostaje czarno na białym sygnał, że coś jest nie tak, reaguje bardzo ostrożnie. Skarg przybyło, ale kontroli już niekoniecznie. Dynamika ich wzrostu była trzy razy niższa niż liczba zawiadomień. Inspektorzy przeprowadzili ponad 22,7 tys. kontroli po skargach. Rok wcześniej było ich 21,5 tys. Czyli wzrost, ale taki, żeby nikt się nie zdenerwował. Pod koniec roku w urzędach pracy było nieco ponad 30 tys. ofert zatrudnienia. Rok wcześniej było ich 51 tys. Spadek o ponad 20 tys. ofert. Czyli pracy jest mniej, a ci, którzy ją mają, coraz częściej muszą znosić więcej. Więc pracodawcy pogrywają z pracownikami nie dlatego, że są źli. Pogrywają, bo czują, że mogą. Wiedzą, że państwo i tak stanie po ich stronie. Najwyżej dostaną pouczenie. Albo kontrolę za pół roku.

Jest jednak dziedzina, w której państwo zareagowało. Ukarało państwowy bank za robienie klientów w konia. Prezes UOKiK uznał klauzule stosowane przez PKO BP dotyczące zmiany oprocentowania kredytu konsumenckiego za niedozwolone. Zakazał ich dalszego stosowania i nałożył na bank karę w wysokości ok. 79,3 mln zł. Postępowanie dotyczyło aneksów do umów kredytu w rachunku płatniczym. Chodziło o zasady zmiany oprocentowania limitu odnawialnego. Bank mógł sobie oprocentowanie zmieniać, kiedy chciał i jak chciał, a klient mógł co najwyżej zmienić bank. O ile wcześniej doczytał aneks zapisany drobnym drukiem. Najciekawsze jest jednak to, że stosowano ten proceder przez ponad sześć lat. I przez cały ten czas bank nie widział problemu. Karę oczywiście zapłacą zrobieni wcześniej w konia klienci. Wystarczy im lekko podnieść marże, dorzucić nową prowizję, skorygować oprocentowanie albo wprowadzić „opłatę administracyjną". Ludzie, którzy te mechanizmy wymyślili i zatwierdzili, są bezkarni. Gdyby któryś z członków zarządu musiał wyjąć kilka milionów z własnej kieszeni, może nagle okazałoby się, że może być uczciwiej. A tak przekaz jest jasny: stosujcie niedozwolone klauzule, ile wlezie. Najwyżej po latach przyjdzie urząd, nakaże je usunąć i nałoży karę, którą i tak zapłacą klienci. Zarządy pozostaną bezkarne, premie wypłacone, bonusy zatwierdzone, a system będzie działał dalej.

Państwo w latach 90. podpisało umowę, która miała być ratunkiem dla infrastruktury, a okazała się szczytem publicznej bezradności. Autostrada A4 na odcinku Katowice–Kraków jest więc podręcznikowym przykładem tego, że oddanie infrastruktury krytycznej prywatnemu kapitałowi kończy się dokładnie tak, jak kończyć się musi: maksymalizacją zysku do ostatniego dnia obowiązywania koncesji. Gdy GDDKiA mówi dziś, że na A4 „kolejny wzrost opłat jest niezasadny", brzmi to zabawnie. Stawka za przejazd samochodem osobowym na jednej bramce ma wzrosnąć z 17 do 18 zł, co oznacza 36 zł za 61 kilometrów asfaltu. Dla ciężarówek mówimy już o 110 zł za cały odcinek. Państwo oburza się, że podwyżki „uderzają w kierowców", „zagrażają bezpieczeństwu" i „mogą przenieść ruch na drogi lokalne". Wszystko to prawda. Problem w tym, że żadna z tych konsekwencji nie jest zaskoczeniem. To są skutki umowy koncesyjnej, w której stronie publicznej pozostawiono rolę komentatora. Bo GDDKiA uczciwie przyznaje, że nie ma „realnych uprawnień do wpływania na decyzje związane ze zmianami stawek opłat". Koncesja Stalexportu wygasa w marcu 2027 r. Za rok opłaty dla pojazdów lekkich zostaną zniesione. Ale skoro można jeszcze podnieść stawki w granicach umowy, to należy to zrobić. Stalexport tłumaczy więc podwyżki „rosnącymi kosztami utrzymania" i „nakładami inwestycyjnymi przed zakończeniem koncesji". Dodaje, że ważnym beneficjentem zysków spółki jest skarb państwa, bo od 2018 r. dostał od Stalexportu ponad 600 mln zł. W zamian za ten haracz państwo pozwalało przez lata windować opłaty do poziomu, który uczynił A4 jedną z najdroższych autostrad w tej części Europy.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

TTJ

Spółki skarbu państwa były, są i będą politycznym łupem

Dwa lata temu z górką zaczęło się od szumnych zapowiedzi. W koalicyjnych umowach programowych zapisano, że jednym z priorytetów będzie „odpolitycznienie Spółek Skarbu Państwa poprzez wprowadzenie czytelnych kryteriów na stanowiska nadzorcze". Miało być profesjonalnie, bez partyjnej kupki, transparentnie – z fachowcami kierującymi wielkimi firmami państwowymi. Zaczęło się jak zwykle – od miotły. Po objęciu władzy sprawnie wymieniono rady nadzorcze i zarządy. Ale czystka ta pokazała, że to wszystko był kit. W miejsce starych „swoich" pojawili się nowi – też „swoi", tyle że z innej opcji.

Synekura pocieszenia

Tuż po przejęciu władzy 18 kandydatów w wyborach do sejmu – 10 z Trzeciej Drogi, pięciu z Koalicji Obywatelskiej, trzech z Lewicy – którym nie udało się uzyskać mandatu, trafiło do rad nadzorczych i zarządów spółek skarbu państwa (SSP).

Przypadek Totalizatora Sportowego, gdzie dziwnym trafem na stanowiska dyrektorskie powołani zostali głównie ludzie powiązani z partiami koalicji 15 października, pokazał, że także nowi rządzący poddają się pokusie traktowania stanowisk w spółkach jak synekur. Nie znaczy to oczywiście, że wszystkie te osoby były niekompetentne, jednak wskazuje na to, iż SSP także po wyborach 2023 r. mogły być traktowane jako nagroda pocieszenia dla niedoszłych parlamentarzystów. Ba, w radach nadzorczych spółek regionalnych pojawiali się radni, byli posłowie i asystenci parlamentarzystów. Nawet w takich podmiotach jak Koleje Dolnośląskie czy Port Gdynia, gdzie nominacje ogłaszano z dumą jako „efekt nowej

Byliśmy na wręczeniu Statuetek Lidera Polskiego Biznesu

Gala klas

My tutaj w „NIE" zwykle pastwimy się nad Kościołem, jakby był najważniejszym przeciwnikiem ideologicznym. A przecież po drugiej stronie barykady stoi wróg znacznie bardziej namacalny – polski kapitalizm. Prezesom i właścicielom fabryk poświęcamy zaskakująco mało miejsca. Czas nadrobić zaległości, bo oto nadarzyła się okazja.

20 lutego w DoubleTree by Hilton Hotel & Conference Centre Warsaw odbyła się doroczna gala Business Centre Club (BCC). Czyli święto niezarejestrowanej partii biznesu, która nie startuje w wyborach, ale rządzi setkami tysięcy dusz. W świetle reflektorów wręczano Złote, Srebrne i Platynowe Statuetki Lidera Polskiego Biznesu – odpowiedniki medali mistrzostw Polski.

BCC to nie jakiś klub dyskusyjny dla aspirujących księgowych. To poważna historyczna organizacja kapitalistyczna, którą w czasach swojej świetności zaszczycał nawet premier Leszek Miller. Konkurs Lider Polskiego Biznesu to nie firmowa gala konsultantów podatkowych z międzynarodowej korporacji Ernst & Young (EY). To też nie półtajemne zgromadzenie najbogatszych z Polskiej Rady Biznesu. Ani konfederacja branżowych interesów pod szyldem Lewiatana. BCC ma ambicję być komitetem olimpijskim polskiego kapitalizmu.

Z opery w krzaki

Wprawdzie legendarny prezes-założyciel BCC Marek Goliszewski (kandydat na prezydenta) gryzie już ziemię (piękną miał trumnę, barokową, i Ryszarda Kalisza w kondukcie), ale idea przetrwała. Raz w roku elita przedsiębiorczości zbiera się, by potwierdzić sobie nawzajem, że zysk jest zasłużony. Takie coroczne klepanko po pleckach.

Po kilkuletniej przerwie zajrzeliśmy na galę BCC. Lekkie zdziwienie. Do tej pory kapitalizm fetował sam siebie w miejscu stosownym do własnych ambicji, czyli w warszawskim Teatrze Wielkim – Operze Narodowej. Ścisłe centrum. Kolumny. Marmury. Monumentalna architektura. Dwa tysiące miejsc. Elita, państwowość!

Tym razem gala odbyła się wprawdzie w Hiltonie, ale nie w tym „prawdziwym", z widokiem na Pałac Kultury, tylko w tym „podrzędnym" w Wawrze. W Wawrze – rozumiecie państwo? 15 km od serca tego naszego nadwiślańskiego Singapuru. Z marmurów i czerwonych dywanów opery – na parking pod lasem. Aj waj!

Płać i bądź

Polski kapitalista, jeśli chciał uczestniczyć, mógł wykupić miejsce przy stoliku za 1845 zł. A jeśli zmęczyłby go ciężar nagrody i odpowiedzialności za wzrost gospodarczy – dodatkowo łóżko za 450. Nie zrozumcie źle – Wawer to piękna okolica. Tylko że trudno tam poczuć puls metropolii. Może warto było wynająć choćby pustostany Świątyni Opatrzności Bożej z pozłacanym dachem. Przy całym szacunku, gala liderów w Wawrze brzmi trochę jak igrzyska olimpijskie rozegrane na boisku szkolnym.

Socjologicznie rzecz ujmując, gala BCC jest zjawiskiem ciekawszym niż sama lista laureatów. To nie jest bal arystokracji ani tajne posiedzenie komitetu centralnego kapitału. To raczej targi aspiracji. Formalna otwartość. Płacisz – masz. Dużo? Oczywiście. Ale – co należy uczciwie przyznać – nikt nie wymagał zaświadczenia o niezaleganiu w ZUS-ie ani referencji od banku. Kapitalizm w wersji bankietowej nie dyskryminuje. Pytanie tylko, po co płacić 1845 zł za kolację, którą dałoby się zjeść 10 razy za 200? Zwłaszcza że mówimy o środowisku wybitnie biegłym w rachunkach. Ludzi, którzy potrafią wycenić amortyzację wózka widłowego na trzy sposoby, ale nagle przestają liczyć, gdy w cenie jest słowo „gala". No cóż, oni nie kupują jedzenia. Oni kupują pozycję przy stoliku.

Dwie twarze gali

Tu zaczyna się właściwa socjologia. Uczestnicy imprez BCC od zawsze dzielą się na dwie zasadnicze grupy. Jedna to stali bywalcy i wyjadacze. To ci utytułowani, z Platynową Statuetką i numerem telefonu do ministra zapisanym pod imieniem. Oni nie płacą. Oni są zapraszani. To ekscelencje, które nie przychodzą, „by być", tylko „by potwierdzić" i aby inni przyszli. Ci inni to chcący się ogrzać w ich blasku, a przy okazji muszą wyskoczyć z portfela. Prawdziwe gwiazdy biznesu siadają przy stolikach bliżej sceny. Ich nazwiska są wymawiane poprawnie.

Ta druga grupa to ci, którzy dorobili się na oknach, gwoździach, hurtowniach, logistyce, czasem na czymś mniej romantycznym w przeszłości, a dziś już legalnym i wysterylizowanym. Z G-Klasą, która w powiatowym miasteczku robi jeszcze wrażenie. W Wawrze robi co najwyżej hałas przy parkowaniu. Oni płacą nie za łososia z emulsją cytrusową i kawior w ilościach śladowych, tylko za możliwość znalezienia się w tym samym powietrzu co prawdziwa śmietanka. Gala BCC działa jak sala balowa w dawnym Paryżu. Można wejść, jeśli ma się odpowiedni strój. Ale to nie znaczy, że ktoś z tobą zatańczy.

Okrągłe stoły i kanty

Już samo rozstawienie stolików w głównej przestrzeni ceremonii w DoubleTree by Hilton wyglądało jak plan zagospodarowania przestrzennego polskiego kapitalizmu. Niby demokracja. Okrągłe stoły, po 12 osób przy każdym. Żadnych kantów, ostrych narożników. 900 uczestników. Wszyscy teoretycznie w tej samej odległości od środka. Jak w podręczniku do zarządzania zespołem.

W praktyce geometria działa inaczej. Najbliżej sceny siedzą ci z Bentleyem Flying Spur w garażu, nie w leasingu. Im dalej od sceny, tym więcej aspiracji, mniej statuetek i więcej wizytówek rozdawanych z nadzieją.

Okrągłe stoliki sprzyjają rozmowie, ale też izolacji. Każdy krąg tworzy własny mikrokosmos. W jednym omawia się ekspansję na Czechy, w drugim – leasing nowego SUV-a, w trzecim – jak przebić się do tych bliżej sceny. Hołota – w sensie czysto strukturalnym, bez obrażania kogokolwiek – czyli to, co kiedyś nazywano biznesem w białych skarpetkach, bawi się między sobą. Zdjęcia z hal produkcyjnych i anegdoty o urzędach skarbowych.

Drzwi otwarte, miejsca zajęte

Elita tymczasem znika. W kuluarach. W hotelowym foyer, gdzie nie obowiązuje już bilet, tylko zaproszenie imienne i znajomość nazwiska. Tam rozmowy są krótsze, bardziej konkretne. Teoretycznie gala nobilituje i integruje. Tak jest to sprzedawane. Jako wspólnota przedsiębiorców. W praktyce potwierdza to, co wszyscy i tak wiedzą: że w kapitalizmie nawet okrągły stół potrafi być hierarchiczny.

Pobyt na imprezie BCC daje poczucie bycia bliżej centrum. Można wrócić do Sanoka czy Inowrocławia z przekonaniem, że było się w epicentrum polskiego kapitalizmu. Zdjęcie przy ściance z kimś publicznie znanym (w tym roku Grażyna Torbicka i – niedorównujący jej popularnością – premier Finlandii Alexander Stubb, a także profesor Andrzej Zoll szczerzący ceramikę do smartfonów), wizytówka w kieszeni, może krótkie „musimy się zdzwonić".

Tyle że sieci kontaktów są już dawno zawiązane. Gala ich nie tworzy. Czyli: przyjechałeś, zobaczyłeś, sfotografowałeś się i wróciłeś do siebie. A elita i tak ma cię w dupie.

Jeżeli gala BCC jest jakąś socjologiczną fotografią stosunków klasowych, mentalności i samoświadomości Polski ćwierćwiecza XXI w., to trzeba przyznać: weszliśmy w fazę kapitalizmu dojrzałego. Karty już rozdano w latach 90. i na początku stulecia. Role ustalone. Scenariusz napisany. Beneficjenci transformacji ustrojowej i modelowej prywatyzacji majątku socjalistycznego przeszli już na zasłużone emerytury. W pierwszym rzędzie

eprasa.pl 6e87ff87ec

U koryta bez zmian

jakości”, nazwiska zaskakująco często pojawiały się wcześniej na listach wyborczych Trzeciej Drogi.

W Orlenie wymieniono znaczną część rady, co miało być symbolem nowego porządku. A że nowi członkowie to często ludzie znani z list wyborczych lub partyjnych powiązań... W PZU – podobnie. W Jastrzębskiej Spółce Węglowej ogłoszono konsultacje strategiczne, lecz ostatecznie nowy zarząd składał się z osób wskazanych przez resort.

Na dodatek po wielu miesiącach pojawiły się deklaracje kolejnego w rządzie Tuska ministra aktywów państwowych Wojciecha Balczuna, który z kamienną twarzą oznajmiał w mediach, że nie będzie żadnej miotły, że zmiany personalne nie są celem samym w sobie oraz że Ministerstwo Aktywów Państwowych (MAP) „opiera się na obiektywnej ocenie efektywności zarządów”. Zamiast czystek ma być monitoring i „stabilność właścicielska”.

Tyle tylko, że miotła już była. Balczun deklaruje, że kluczowe są kwalifikacje, ale jakoś dziwnie często posiadają je ci, którzy startowali z list Trzeciej Drogi, KO albo Lewicy. Ministerialne zapewnienia o „macierzach kompetencji” czy „transparentnych regułach” są jak scena z groteski: podnoszą kurtynę, ale za nią ciągle ci sami aktorzy.

Balczun powtarza też, że analizuje, „czy konkurs na nowy zarząd jest obligatoryjny, czy też istnieje możliwość pozostawienia obecnego składu”. Oto nowe podejście do procedur – wszystko zależy. Elastyczność totalna. Jeśli trzeba kogoś wymienić, to dla dobra spółki. Jeśli nie trzeba, to dla zachowania ciągłości. A jeśli decyzja była polityczna, to przecież też zgodnie z analizą.

Pudrowanie patologii

W połowie 2024 r. próbowano wprowadzić coś, co miało być symbolem przełomu – radę ds. SSP. Zarządzenie premiera uporządkowało obieg wniosków i opinii wobec kandydatów do rad nadzorczych. Brzmiało obiecująco – instytucjonalna droga, transparentność, kontrola. Jednak w rzeczywistości rada nadal nie miała realnej siły decyzyjnej. To ciało wyłącznie doradcze, umocowane przy centrum władzy, a ostateczne nominacje i tak zależały od polityków.

Co więcej, mimo deklaracji, że forsowany będzie system konkurencyjny i jawny, trudno ocenić, ile wniosków rada odrzuca. Nie ma dostępnych danych, które pozwalałyby ustalić, czy np. kandydaci bez politycznych koneksji mieli realną szansę. Nie znamy nawet statystyk, ile wniosków oceniano negatywnie, ile pochodziło od niezależnych ekspertów, a ile od osób powiązanych z partiami. Rada działa nie jako bariera, tylko maskownica legitymizująca decyzje już podjęte.

W listopadzie 2024 r. MAP przekazało do konsultacji Kodeks Dobrych Praktyk Nadzoru Właścicielskiego. Dokument porządkował role i akcentował jawność, ale był miękkim prawem. Po trzech tygodniach opublikowano tabelę ponad 180 stron uwag, zapowiadając „dalsze szlify”. Podobnie z dokumentem KPRM z kwietnia 2025 r.: „Dobre praktyki w zakresie sponsoringu sportu” to zbiór zasad „stosuj lub wyjaśnij” bez skutków formalnych. Bez ustawowego oparcia wszystko to będzie działać tak długo, jak polityczna wola jego stosowania.



Tymczasem efekty widać gdzie indziej. Po zmianie władzy reklamy SSP niemal zniknęły z mediów prawicowych. Spadek o 21 proc. w całej telewizji, ale niemal do zera w Republice czy wPolsce24. Jednocześnie powrócono do reklamowania się w kanałach TVN. Czyli redystrybucja, nie depolityzacja.

Największym beneficjentem zmiany były TVN i Agora. Według danych Nielsena, liczba reklam SSP w TVN wzrosła o 370 proc. w ciągu pierwszych sześciu miesięcy 2025 r. Agora odnotowała 220-procentowy wzrost wpływów z reklam od spółek publicznych. PiS przy władzy nie ma, ale system, w którym wydatki reklamowe są funkcją politycznego kalendarza, pozostał.

W marcu 2024 r. na stole położono ustawę przygotowaną przez Polskę 2050 zakładającą m.in. jawny rejestr wynagrodzeń, trzy mandaty niezależne w radach, zakaz łączenia funkcji publicznych z członkostwem w organach spółek, zakaz wpłat na partie ze strony członków rad i zarządów. Projekt ten został jednak storpedowany w komisji głosami polityków z Koalicji Obywatelskiej i PSL.

Odwrócona szachownica

Reformy ustawowe wciąż się nie pojawiły. Reforma nadzoru z 2017 r., która miała ujednolicić zasady i oczyścić strukturę, nie rozwiązała problemu. Nadal wiele spółek pozostaje poza realnym nadzorem, a polityczna kontrola – rozproszona między ministrami i agencjami – sprzyja utrzymaniu starych przywilejów. Dostrzegła to nawet NIK. Opublikowała raport, w którym wskazała, że spółki skarbu państwa – przez fundacje z nimi powiązane oraz same spółki – przekazały ogromne sumy w formie darowizn i sponsoringu. Spółki przeznaczyły na darowizny blisko 840 mln zł w latach 2017–2021, z czego około 680 mln trafiło do fundacji zakładanych przez te spółki.

Tak działała polityczna sieć protekcji. Fundacje – powiązane często z partiami, środowiskami lub osobami wpływowymi – stały się kanałem transferu publicznych pieniędzy do sprzyjających mediów, stowarzyszeń, klubów, instytucji kulturowych i sportowych. To system, który pozwalał dysponować publiczną kasą bez kontroli.

NIK wskazała też, że część z tych przepływów budziła uzasadnione podejrzenia i złożyła 10 zawiadomień do prokuratury w sprawie wydatków sześciu spółek podejrzanych o przestępstwa.

Nie dziwi, że spółki państwowe były za PiS wykorzystywane jako bankomaty polityczne. I chyba nie dziwi też, że wciąż nie są zobowiązane do pełnej jawności umów, do transparentnego raportowania wydatków sponsoringowych, do obowiązku ujawniania beneficjentów darowizn. Nie dziwi, bo

historyczna recenzja NIK pokazuje, że problem jest strukturalny. Już w 2008 r. kontrola wskazała, że nadzór nad spółkami państwowymi był nieskuteczny – brak było jasnej polityki właścicielskiej, a procesy decyzyjne w sprawie nominacji i wynagradzania były rozproszone, chaotyczne, podatne na arbitralność.

Dlatego kiedy obecny rząd mówi o „macierzach kompetencji”, „standardach”, „różnorodnych radach nadzorczych” – trudno się nie śmiać. Zmieniono nazwiska, przesunięto wpływy, odkurzono kodeksy, regulaminy, zalecenia. To nie depolityzacja – to tylko zmiana stron, po których siedzą ci sami gracze.

TADEUSZ JASIŃSKI



siedzi dziś drugie pokolenie. Dzieci tych, którzy „zaczynali od zera”, przy czym to zero było często dawnym magazynem państwowej hurtowni.

Kapitalizm w gumowcach

To już nie są – jak mawiają w USA – nowe pieniądze. To są pieniądze odziedziczone. Uspokojone. Ucywilizowane. Ich standardem nie jest już Mercedes z przemytniczą historią i dywanikiem z bazaru. Nie muszą niczego udowadniać. Biznes robią na pieniądzach, których nawet nie widzą. Na obligacjach zamkniętych funduszy inwestycyjnych. Na abstrakcyjnych aktywach, które są pakietem jeszcze innych aktywów – złożonych z obligacji i akcji egzotycznych fabryk w Kuala Lumpur, których nikt z nich nie potrafiłby wskazać na mapie bez pomocy asystentki.

Ale obok nich siedzi druga grupa. Ci, którzy – podobnie jak ich rodzice – coś jednak produkują. Suszą kawę. Tłoczą olej. Kręcą lody – dosłownie i w przenośni. Objeżdżają pick-upem setki hektarów szklarni udających południe Europy, z których zimą mamy pomidory. Oni nadal znają zapach magazynu i koszt kilowatogodziny.

No cóż, z arystokracją – tą prawdziwą – nawet nie było nam dane się zetknąć. Windy prowadzące na wyższe piętra są szybkie i dyskretne. Został więc nam drugi garnitur.

Podwykonawcy nowoczesności

Ten jest mniej romantyczny. Polski biznes w znacznej części to podwykonawca Zachodu. Montownia. Centrum usług wspólnych. Excel w języku angielskim i faktura w złotówkach. Produkujemy komponenty, pakujemy, kompletujemy, skręcamy. Ktoś gdzie indziej projektuje, patentuje, inkasuje premię za innowację. My dostajemy marżę za staranność.

Polski przedsiębiorca jest figurą wewnętrznie sprzeczną. Jednocześnie narzeka na państwo – regulacje, kontrole, podatki, ZUS – ale żyje z zamówień publicznych. Jednocześnie mówi o wolnym rynku, ale liczy na tarcze, subwencje, dopłaty, programy wsparcia, ulgi inwestycyjne.

Największym partnerem biznesu w Polsce nie jest klient, lecz budżet. Choć oczywiście są wyjątki. Zawsze są wyjątki. Ale większość „liderów” nie buduje przełomowych technologii. Sprzedaje to, co już dawno zostało wymyślone gdzie indziej, tylko taniej, szybciej albo z lepszą logistyką.

Zyski buduje się nie na odkryciach, ale na optymalizacji. Podatkowej, strukturalnej, holdingowej. Kreatywność polskiego kapitalizmu objawia się w konstrukcji spółek córek, wehikułów inwestycyjnych i funduszy zamkniętych, które są tak przejrzyste, jak menu degustacyjne bez cen.

To nie jest już dziki kapitalizm lat 90., kiedy Atlas mieszał klej do glazury w betoniarce, a Kamis zaczynał od handlu przyprawami w budce na Placu Konstytucji. Wtedy sukces pachniał pierwszą partią towaru przywiezioną busem z Niemiec. Dziś mamy kapitalizm uporządkowany – z radą nadzorczą, kancelarią i doradcą podatkowym.

Elektromobilność, frytki i drzwi

Z dziennikarskiej litości nie będziemy znęcać się nad wszystkimi kategoriami nagród BCC: Złota Statuetka, Diament do Złotej Statuetki, Platynowa Statuetka, Diament do Platynowej Statuetki itd. Dziś tylko laureaci Złotej Statuetki Lidera Polskiego Biznesu 33. edycji:

1. Arinea – publiczne stacje ładowania elektryków. Dzięki nim dbacie o planetę. Tak naprawdę przerzucają problem z rury wydechowej do elektrowni węglowej.

2. Centrum Medyczne „Zdrowie Plus” – zdrowie zawsze było dobrym biznesem. A w zasadzie choroba.

3. Farm Frites Poland – międzynarodowy gracz w produkcji frytek i przetworów ziemniaczanych. Królestwo ziemniaka w oleju.

4. Hart-Tech – obróbka cieplna i cieplno-chemiczna stali. Chcielibyśmy się ponabijać, ale zupełnie się na tym nie znamy.

5. Intop – mosty, wiadukty, konstrukcje. Głównie dla PKP. Opinie z Google Maps – poczytajcie sobie sami. My się boimy.

6. Jabil Poland – wysokiej klasy montownia elektroniki. Mózg w Dolinie Krzemowej, palce w Kwidzynie.

7. OTTO Work Force Central Europe – agencja pracy tymczasowej. Nie życzymy teraz kontroli ZUS-u albo innej PIP.

8. Port Lotniczy Poznań-Ławica – regionalne lotnisko. Przykład samorządowego kapitalizmu: publiczne pieniądze, prywatne ambicje i bilans, który musi się zgadzać przed wyborami.

9. Porta KMI Poland – jeden z liderów produkcji drzwi. Firma, która sprzedaje wejścia i wyjścia.

10. Rodamed – sprzęt i rozwiązania medyczne. Najbardziej stabilny segment gospodarki. Choroby nie znają cykli koniunkturalnych, a pacjent rzadko odkłada konsumpcję na lepsze czasy.

Po trzecim toaście wszyscy byli zgodni: polska gospodarka ma się dobrze. Po czwartym – że mogłaby mieć się jeszcze lepiej. Po piątym – że wszystko zależy od regulacji.

ROBERT JARUGA

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 25.02.2026 r.

eprasa.pl 6e87ff87ec

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Jarema Kaczauer z Pisdowa miał nie lada kłopot: mieszkańcy żądali, żeby wskazał kandydata na premiera. Nie wiedząc, na kogo wskazać, Jarema poszedł po radę do słynnego z roztropności rabina Szlomo Kahana z Radzymina.

Wysłuchawszy Kaczauera, rabin podniósł palec i rzekł: – Wskaż Chrupkę.

– Chrupkę? – zdumiał się Jarema. – Ależ rebe, ona się tak nadaje na premiera jak ja na papieża z samego Rzymu.

Ajme Chrupka była znana, powiedzmy, ze skrajnego braku rozsądku. Nie grzeszyła też urodą ani nie miała majątku, który byłby godzien wystarczająco dużego szacunku.

– Wskaż Chrupkę – powtórzył rabin.

• • •

Gdy Jarema Kaczauer ogłosił, że jego kandydatką na premiera jest Ajme Chrupka, spotkał się z powszechną krytyką.

– Jarema oszalał – dziwili się jedni mieszkańcy Pisdowa. – Przecież Chrupka jest głupsza od Antona Maciersztajna, a Anton Maciersztajn jest najgłupszy.

– Jaremę przekupili Saraceni – utyskiwali drudzy – albo hitlerowcy.

– Jaremie padło na mózg – martwili się inni. – Pewnie dlatego, że jest starym kawalerem.

– Chrupka nawet gnoju by u nas nie mogła przerzucać – dodawali jeszcze inni. – A co dopiero być naszym premierem…

Udała się zatem do Kaczauera delegacja niezadowolonych mieszkańców.

– Zobacz, jakich dobrych masz innych kandydatów – wyjaśniali – Zacharego Bugutzena, Mojżesza Morawera albo Paschazego Czerniaka. Nawet Pato Taki jest lepszy od Chrupki.

– Odwołaj kandydaturę Ajme Chrupki, szanowny Jaremo – prosili. – Jeżeli nie odwołasz, będzie źle.

– Nie odwołam – upierał się Jarema.

• • •

Mieszkańcy byli tak wściekli, że już się wydawało, że Kaczauer padnie ofiarą zamachu. Wtedy do Jaremy przybył nocą z Radzymina rabin Kahan.

– Jutro ogłoś Bochensteina jako twojego kandydata na premiera – rzekł.

• • •

Nazajutrz Jarema ogłosił, że jego kandydatem na premiera jest Tobi Bochenstein.

– Jaki ten Kaczauer jest mądry – mówili teraz ci mieszkańcy Pisdowa, którzy niedawno odsądzali go od czci i wiary.

– Jaki rozumny – dodawali inni.

– Jak roztropny – cieszyli się kolejni. – Z takim błyskotliwym Kaczauerem już nic nam nie grozi.

Zapanowała pospolita radość. Jeszcze Pizdowo nie zginęło…

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją



JOANNA SENYSZYN i AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

wreszcie się spotkały: w klubie La Pose na debacie o LGBT.

Wołk-Łaniewska: – Ale najpierw chciałabym o jednym heteryku.
Senyszyn: – Skoro musisz…

– Muszę, bo potem będzie niezręcznie do tego wrócić, żeby ktoś nie pomyślał, że mi się prawdziwy zbok z normalnymi elgiebetami skojarzył. Chodzi mi otóż o byłego księcia Andrzeja, który został aresztowany w dniu swoich 66. urodzin.
– Lepiej późno niż wcale. Ale dlaczego mamy o tym rozmawiać?

– A bo mnie jakoś niezdrowo fascynuje brytyjska rodzina królewska, a szczególnie jej upadek. Patrzeć, jak ten cały groteskowy kokon przywilejów kruszy się na oczach świata – bezcenne. A zatem: kumpel Epsteina Andrzej, aktualnie znany jako Mountbatten-Windsor…
– Co skądinąd jest interesującym przyczynkiem do dyskusji o równouprawnieniu kobiet w brytyjskich sferach królewskich… Andrzej nosi dwa nazwiska, po mamusi i po tatusiu, co było kompromisem między ambicjami wuja księcia Filipa, lorda Luisa Mountbattena – który bardzo chciał, żeby królowa, wychodząc za jego siostrzeńca, zmieniła nazwisko – i rodem Windsorów.

– Od samczych ambicji lorda Mountbattena większym problemem była jego odpowiedzialność za partycję Indii, w której życie straciło – wedle różnych rachunków – między 200 tys. a 2 mln ludzi. Wracając wszakże do Andrzeja: to wyjątkowy kawał fiuta. Nie tylko z powodów, o których wszyscy mówią, ale też dlatego, że jest – jak ujął to były oficer jego ochrony Paul Page – chamskim, okropnym, małym człowieczkiem, który zwykł nazywać swoją świtę „jebanymi imbecylami" oraz „tłustym pizdami".
– Już od dawna szlachectwo zobowiązuje tylko do wygodnego życia na koszt społeczeństwa. Ale nie czarujmy się: kiedyś też nie było lepiej. A jak mawia nasza kochana Olga Lipińska „chamstwo jest miernikiem kultury".

– Zachwycił mnie kolektyw Everyone Hates Elon (Wszyscy Nienawidzą Elona), który powiesił na ścianie w Luwrze portret księcia Andrzeja w złotych ramach.
– Byłego księcia. Tak dokładnie było to zdjęcie przerażonego Andrzeja na tylnym siedzeniu Range Rovera, wywożonego z komisariatu policji, gdzie był przesłuchiwany przez 12 godzin, z podpisem: „Teraz się poci".

– Co nawiązuje do kompletnie kretyńskiego wywiadu, którego Andrzej udzielił Emily Maitlis z BBC Newsnight w 2019 r., kiedy odpierał zarzuty Virginii Giuffre, że z nią tańcował i był ohydny, bo strasznie się pocił: „Mam specyficzną dolegliwość medyczną, która polega na tym, że nie pocę się lub nie pociłem się w tamtym czasie"…
– Widzę, Wołku, że ty naprawdę cierpisz na niezdrową fascynację rodziną królewską.

– Toć mówiłam!
– I nie skłamałaś. Mnie bardziej zainteresowały doniesienia na temat oburzenia, które zapanowało w związku z faktem, że królowa Kamila pojawiła się w Clarence House na inauguracji London Fashion Week, mimo że jej szwagier został aresztowany. Zwłaszcza że na inauguracji był również król Karol III, co już krytyki nie wzbudziło, choć Andrzej to jego rodzony brat. I teraz mam dylemat: czy dała o sobie znać odwieczna dyskryminacja kobiet, czy to, że Kamila nie jest zbyt lubiana. Pewnie gdyby chodziło o Dianę, zwaną królową ludzkich serc, wszyscy by chwalili jej determinację w wypełnianiu królewskich, wcześniej umówionych obowiązków. To tylko potwierdza moją tezę, że jak cię lubią, tak cię piszą. A logicznie myśląc, co niby Kamila miała robić?



Rys. MAURIZIO DI BONA

– Siedzieć w pałacu i przeżywać aresztowanie szwagra najwyraźniej.
– Z pewnością jeszcze będzie miała okazję, bo to dopiero początek. Na razie ścigają go za nadużycie stanowiska poprzez przekazywanie Epsteinowi tajnych informacji, które pozyskał jako członek rodziny królewskiej. Wykorzystywanie nieletnich ma dopiero przed sobą. Zmieniając temat: jak ci się podobała moja debata w LGBT.tv?

– Bardzo. Przemili ludzie i szczerze zainteresowani stanem świata. I to nie tylko prawami LGBT – ale generalnie polityką. Ciekawe, czy heteronormatywna młodzież też jest taka myśląca – czy dotyczy to tylko tych, których świat bije w dupę za to, kim są. A po twojej debacie zdążyłam jeszcze na debatę w Kongresie…
– Obejrzałaś State of The Union Trumpa?

– Owszem. Rozpoczynając od trzeciej w nocy. 107 minut – najdłuższe orędzie o stanie państwa w historii USA.
– I co prezydent Trump mówił?

– To co zwykle: że jest wielki. A chrzanił tyle czasu, bo otępienie czołowo-skroniowe jak zwykle nie pozwoliło mu trzymać się napisanego tekstu. To się nazywa rozhamowanie: daleko idący brak samokontroli. Najbardziej mi się podobał taki oto wtręt: „Ludzie mnie proszą: Prosimy, prosimy, prosimy, panie prezydencie, za dużo wygrywamy. Już nie dajemy rady. Nie jesteśmy przyzwyczajeni do tego, żeby tyle wygrywać, zanim pan się pojawił, zawsze przegrywaliśmy. Ale teraz wygrywamy za dużo"…
– Jak rozumiem, wygrywają głównie w hokeja?

– W hokeja wygrali z Kanadą pierwszy raz od 1980 r.
– Trump na pewno to też uważa za swój osobisty sukces.

– Owszem, nawet mówił o tym w orędziu. I jeszcze zapowiedział, że da bramkarzowi amerykańskiej drużyny hokejowej Prezydencki Medal Wolności.
– Co może się już wkrótce okazać nie aż tak wielkim wyróżnieniem, zważywszy, że niedawno Trump zapowiedział, że przyzna go sam sobie za to, że poleciał do Iraku i był „ekstremalnie dzielny".

– Toć mówię: rozhamowanie. Ale ja nawet nie o tym chciałam. Otóż prezydent Trump orzekł – pokazując na posłów opozycji – „Ci ludzie to wariaci, mówię wam, to wariaci, mamy szczęście, że w ogóle mamy jeszcze kraj". I tak mi się przypomniało niedawne wystąpienie premiera Tuska, który zwrócił się do opozycji słowami: „Dotarło, zakute łby?".
– Co gorsza, nie tylko do opozycji – 22 proc. Polaków jest przeciw programowi SAFE, zgodnie z sondażem, który zamówiła „Rzeczpospolita". Ja akurat uważam, że nie mają racji: wbrew zaklęciom monetarystów, rozwój na kredyt jest zdrowy i bezpieczny, jeśli kredyt ten przeznaczony jest na mądre inwestycje, a nie na konsumpcję – ale rzeczywiście „zakute łby", podobnie jak „wariaci", nie jest to najstosowniejszy sposób zwracania się do ludzi, którzy nie zgadzają się z rządem…

– Choć ja akurat w tej sprawie zgadzam się z Trumpem. Demokraci mają nierówno pod sufitem.
– No, teraz mnie nieco zaskoczyłaś.

– Już tłumaczę. Otóż po orędziu o stanie państwa tradycyjnie od 1966 r. opozycja prezentuje swoją odpowiedź. Zwyczaj jest taki, że wygłasza ją jakiś przedstawiciel, wybrany w powszechnym wyborach…
– My byśmy wybrały elektryzującego Zohrana Mamdaniego, mera Nowego Jorku.

– A demokraci wybrali Abigail Spanberger, która jest gubernatorem Wirginii i wyróżnia się tym, jest jest doskonale bezbarwna. Wewnętrznie i zewnętrznie.
– Chyba nie będziesz krytykować kobiety w polityce za to, jak wygląda!

– Nie chodzi o urodę, tuszę czy cokolwiek innego, co się wiąże z kobiecością: chodzi o kompletny brak koloru. Ta kobita wygląda, jakby z grobu powstała: jest szara, wyblakła, nie ma w sobie nic żywego. I mówi z podobną werwą: „Więc zapytam jeszcze raz: czy prezydent pracuje na rzecz tego, żeby Amerykanie byli bezpieczni w kraju i za granicą? Wszyscy wiemy, że odpowiedź brzmi: nie"…
– Zaiste, porywające, ale dobrze, że nie powiedziała: tak.

– Demokraci znów robią to, co już dwa razy utorowało Trumpowi drogę do władzy: establishment Partii Demokratycznej tak histerycznie boi się „postępowców" – lewego skrzydła związanego z Berniem Sandersem – że woli przegrać wybory z faszystą niż wygrać, popierając lewaka. Nie widzę przyszłości USA w jasnych barwach.
– W odróżnieniu od przyszłości Polski, którą rozjaśni Nowa Fala.

– Ta je!

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 6e87ff87ec